

W. Goczałkowski

UŁANI

PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz
Al. Gen. J. Hallera 14



111073

UŁANI

W. GOCZAŁKOWSKI.

UŁANI

WYJĄTKI Z PAMIĘTNIKA

Opracował dla młodzieży

STEFAN GĘBARSKI.



W A R S Z A W A

WYDAWNICTWO RED. „PRZYJACIELA DZIECI“.

1 9 0 9.

K. 142/82



111073

Druk Towarzystwa Akcyjnego S. Orgelbranda Synów.



Józef Chłopicki.

Podajemy młodym naszym czytelnikom wyjątki z pamiętnika W. Goczałkowskiego, oficera 1-go pułku ułanów b. wojsk polskich. Czynimy to w nadziei, że przez tę pracę zaznajomią się bliżej z świetną przeszłością i życiem żołnierza polskiego z pierwszej połowy XIX stulecia. Dzieje Królestwa Polskiego, utworzonego w roku 1815 na gruzach niepodległego Wielkiego Księstwa Warszawskiego, zasługują na pilną uwagę młodzieży naszej. Królestwo, któremu początkowo pozostawiono możność rządzenia się samodzielnie, w krótkim czasie pod wielu względami doszło do doskonałości. Tak było i z armią. Dosięgła ona szczytu sprawności bojowej i waleczności. Oddają jej te pochwały nawet przeciwnicy, nawet ludzie obcy. Dość przytoczyć zdanie generała Puzyrewskiego, który w dziełach swoich nie ma dość słów na pochwałę żołnierza polskiego.

W. Gołczakowski, pełny prostoty i ujmującej szczerości, w pamiętniku swoim maluje żywo a serdecznie tak niedawną i tak drogą, a tak mało jeszcze znaną nam przeszłość. A przecież w najdrobniejszych szczegółach poznanie tej przeszłości jest obowiązkiem naszym.

W. Goczałkowski był synem rodziny ziemiańskiej, króra zubożała. Szabla i koń miały dla niego urok nieprzeparty. Gdy po przedwczesnej śmierci ojca, na roli osiąść nie mógł i orać ziemi przodków, postanowił wstąpić do ówczesnego wojska polskiego, które nęciło go swą chwałą i świetnością.

Z przepelnionem marzeniami sercem przybył do Warszawy, aby zamiar swój skutecznić.

Jak opowiada koleje swego życia, jak z przedziwną prostotą i talentem maluje ówczesne czasy i ludzi, da możność poznać młodemu czytelnikowi niniejsza praca nasza.

ROZDZIAŁ I.

Parada na Saskim Placu.

Po rogach ulic, przylegających do Saskiego placu, stali już żandarmi na koniach, pilując porządku i broniąc przejazdu powozom; na placu otoczonym barykadami—czekały w pełnej paradzie przybycia W. księcia oddziały defilowe, których koleją dostarczały pułki gwardyi pieszej i konnej polskiej.

Ujrawszy naraz tyle zgromadzonego wojska, tak pysznie wyglądającego, tylu jenerałów i oficerów w świetnych i błyszczących od złota i srebra uniformach, te bogate szlify, kordony i akselbanty—te pióra powiewające, jak fale, na kapeluszach, choć jeszcze z miejsca się nie ruszyli —młodzian osłupiał i zdumiał

się. W jeden punkt wszyscy mieli oczy zwrócone, to jest na drogę prowadzącą do Belwederu, skąd Wielki książe miał nadjechać.

Berajter tymczasowo ujeżdżał mu na placu dzielnego araba; uważałem, — pisze Goczalkowski — że od czasu do czasu różni generałowie i wyżsi oficerowie, podjeżdżając do berajtera o coś go pytali, a każdy odjeżdżał od niego z wesołą miną przed swój oddział, ciągle go jeszcze oglądając.

Jak się później dowiedziałem, pytano się berajtera, w jakim humorze książe wstał, od tego bowiem za leżało powodzenie parady.

W owym dniu książe wstał w kapitalnym humorze, radość więc malowała się na wszystkich twarzach, bo oficerowie pewni naprzód już byli, że choćby się zdarzyły jakie uchybienia, nie będą uważane — i do brze przegląd pójdzie.

Z uderzeniem godziny dziesiątej młodzieniec ujrzał dorożkę odkrytą, która pędziła trójką od Belwederu. Zdała już powiewało i bujało pióro białe, czarne i żółte na kapeluszu księcia, siedzącego w pojeździe po lewej ręce przybocznego generała Kuruty.



Przeгляд wojska po skiego na placu Saskim w Warszawie w roku 1830.

Na placu zrobił się niezwykły ruch. Z kilkudziesięciu piersi na raz wypadła komenda:

— Stój! baczność! prezentuj broń!

I gdy bębny bębnią, trąby trąbią, muzyki grają generał-marsz, nie wiedząc sam, na co wprzód patrzeć— widzę wreszcie jak biegnie po przed szeregiem Wielki książę Konstanty, a za nim pełno generałów, pułkowników i adyutantów.

Postawa barczysta, nieco podana naprzód, oczy gęstemi zasunięte brwiami, ten nos historyczny i głos chrapliwy, którym każdy oddział po kolei witał temi słowy:

— Jak się macie, chłopcy!

A na co oni całym gardłem odpowiadali:

— Zdrowia życzymy Waszej Księżęcej Mości!

Dziwne i szczególne to robiło wrażenie.

— Więc to jest ten książę Konstanty,—pomyślałem, — o którym tyle dziwnych rzeczy mówiono nieraz, którego imię tak jest straszne, a przecież w wojsku posiada pewną przychylność? Prawdziwie nie wierzyłem sam sobie, że na księcia istotnie patrzał.

Przeszedł wszystkie pierwsze szeregi, poczem niezrozumiale zakomenderował:

— Drugi szereg odstęp—marsz!

I skoro drugie szeregi jednym krokiem w tył zrobiły miejsce, obszedł drugi szereg, gdzieś się zatrzymał, coś pokazał dowódcy, z których każdy mu tak długo towarzyszył, dopokąd jego oddziału nie minął, potem znowu stanął przed frontem i zakomenderował:

— Drugi szereg przystap—marsz!

Muzyka wciąż grała w czasie tego przeglądu. Wreszcie podano mu konia, wsiadł, ruszył z kopyta na środek placu, a za nim trębacz z całym przybocznym sztabem; książę zawołał:

— Posyłki!

Na tę komendę — z oddziału posyłkowego, który składali: oficer, podoficer i żołnierz każdego pułku kawaleryi, stosownie do rozkazu, stępa, klusem, galopem lub pędem, pojedynczo jeden po drugim wyjeżdżali się meldować.

Po zameldowaniu się, zawracał każdy pół wolta galopem i pędem znów odjeżdżał na swoje miejsce; następnie inni wyjeżdżali, dopokąd wszystkie ordynanse i posyłki nie zameldowały się.

Ceremonia ta odbywała się co dnia kolejną z każ-



Ulan polski pułku 2-go.

dego pułku, i to nazywało się: posyłki konne. Posyłki zaś i ordynanse piechoty meldowały się na pokojach co dzień w Bruhlowskim pałacu, gdzie ksiązę po skończonej paradzie udawał się prosto z Saskiego ogrodu odbierać raporta.

Po zameldowaniu się posyłek konnych, których zręczność w toczeniu końmi i śliczna postawa, a szczególnie ułanów—z ich furczącymi białymi z amarantem chorągiewkami, nadewszystko mi się podobała, zaczęły defilować następnie jeden po drugim oddziały gwardyi pieszej, a potem liniowe — po przed księciem; w takt, według ślicznej wojskowej muzyki, najprzód krokiem paradnym, potem podwójnym, dalej podwojonym, w końcu, jakby do ataku.

We wszystkich tych odmiennych ruchach, każdy szereg wydawał się jedną najrówniej wyciągniętą linią. Nogi, piersi, bagnety i pióra na kaszkietach—ani jednym strychem nie odłączały się od całości, cały szereg wydawał się być tylko jednym człowiekiem, a do tego co za podstawa, co za ludzie! — prawdziwie, jak to mówią, chłop w chłopa! a na nich mundury, pakunek i wszelkie przybory, jakby w jednej formie ulane!

Towarzysz młodzieńca, który mu wszystko tłómaczył, szepnął:

— A co, nasze grenadyery? patrz, jak defilują! Co za śliczny żołnierz! Uważ tylko, jak się równają, co za postawa, to mi wyrobienie! — prawda, że to najpiękniejszy żołnierz?

— Oj, prawda, prawda!—odrzekłem roztargniony, wlepiając zdziwione oczy w hufiec pierwszego pułku ułanów, który wyciągniętym kłusem właśnie mijał Wielkiego księcia.

— Tęgo! tęgo! bardzo dobrze! — zacierając ręce, klepiąc się w takt po udzie, wołał księżę Konstanty, a skoro się pluton sformował, obok księcia stojący — i ciągle go lustrujący, z ogromnym brzuchem dowódzca ułanów Tomicki, istna ironia lekkiej kawaleryi, zakomenderował:

— Do defilowania—galopem!

Muzyka zagrała galopadę — i niewidziane dziwy się stały! koń w konia z tą gracją, lekkością, nie dotykając prawie ziemi, równając się przytem w szeregach, najdokładniej, puszcza się galopa!

Już o jeźdźcach — pisze Goczalkowski — nie wspomnę, bo ci mi się nie ludźmi z tego świata wydawali,



Podoficer 1-go pułku ulanów polskich.



lecz w rozgrzanej wyobraźni zdało mi się mieć przed oczyma jakąś falangę nadziejską!

W tej uroczystej chwili poślubiłem dozgonną wiarę ułanom!

Wtem trąbka dała sygnał! Cały pluton schyla lance w pół ucha końskiego, i z krzykiem „hura!“ puszcza się do ataku; lecz za podwójnym znakiem — konie zaryły tylnymi kopytami w ziemię; i jak dwa wyciągnięte sznury, najspokojniej pluton zatrzymał się, a lance wróciły na swoje miejsca.

Cichość najuroczystsza panowała w szeregach, tylko było słychać parskanie niechętnie powstrzymanych, ochotnych i dzielnych biegunów.

Uradowany księżę galopem przypadł przed front, wołając:

— Bardzo dobrze, dzieci!

— Radzibyśmy lepiej! — odkrzyknęli wiarusy.

— Dziękuję wam, dziękuję, tego było! tego! Tomicki! dziękuję ci! twoje ułany szlachta! — szlachta! w rozkazie dziennym ogłosić moje zadowolenie z dnia dzisiejszego, wszystkim — szczególnie dziękuję ułanom i ich dowódcy — dziękuję — bardzo dziękuję!

I zacierał ręce — i pogwizdywał, cieszył się, jak dziecko.

Radość była powszechna, i jam się cieszył, bo w tej pochwalę Wielkiego księcia Konstantego, o którym tyle złego mi gadano, czemu teraz anim chciał wierzyć, widziałem siebie jakby objętym, miałem się już bowiem za rzetelnego ułana!

ROZDZIAŁ II.

Pierwsze kroki.

Skończyła się parada, książę poszedł piechotą do Brühlowskiego pałacu odbierać raporta i przyjmować posyłki piesze, za nim cały sztab się udał, a tymczasem oddziały jedne za drugimi rozchodziły się do koszar i na warty.

Długo wzrokiem odprowadzał Goczałkowski ułanów, a gdy ostatnia chorągiewka mignęła i schowała się na zakręcie ulicy, wrócił zadumany z swoim towarzyszem do stancyi.

Popołudnie zeszło wesoło; przyszedł wachmistrz z kilkoma ułanami, których wypytywał się, gdzie mieszka ich pułkownik? gdzie sztab stoi garnizonem? dłu-

go w Warszawie zostaną? Obiecali, że w tem wszystkim go oświecą.

Do konnicy skłonność młodzieńca nęciła, za piechotę rozsądek szeptał, a tymczasem ani do tych, ani do owych nie widział sposobu się dostać, bo nie miał żadnej protekcji.

Niebawem poszli do koszar; dziwił i zachwycał tu porządek, czystość i owa dokładna symetryczność w każdym kąciku i ta elegancja w salach żołnierskich, owe prycze—każda na dwóch porządnie zaścielona, owe piramidy z broni, kaszkietów i przyborów, około ścian poustawiane; zaś to jakby w małej republice towarzysko-koleżeńskie, do jednego celu dążące, zawsze czynne i pracowite życie—a jednak, jak się zdawało—wolne od trosk i obawy na przyszłość; ta monotonna, a jednak tak pełna obrazowości jednostajność, coś niby poetycznego w całym urzędzeniu.

Po skończonym apelu, zgromadziło się z piętnastu podoficerów i kadetów do jednej mniejszej sali, gdzie stał sierżant kompanii; żołnierza nie było tam żadnego, bo żołnierz prosty razem z podoficerem w towarzystwie nie miał miejsca, ten ostatni znowu, nie śmiał się znajdować tam, gdzie oficer się bawił.

Otóż zeszli się panowie podoficerowie i kadeci. Znajomy Goczałkowskiego obmyślił wszystko należycie, rozumie się za pieniądze młodzieńca, aby się nie nudzili, zwłaszcza podoficerowie, jako najbliższa przyszła jego zwierzchność. Było co pić, była i przekąska, gadało się to o tem, to o owem. A kiedy się już dosyć nawypytywali, skąd pochodzi kandydat na ułana, jakiej kondycji, gdzie i czego się uczył i t. p., Goczałkowski poprosił także, aby zaczęli sami opowiadać.

A że humory były już wesołe, i na tym punkcie, gdzie to człek czuje potrzebę, albo poufnego wylania się, albo doznanych wydarzeń — ze wspomnienia, lub wreszcie z troski, albo przykrości zwierzenia się, — więc sierżant kompanii, stary wiarus z trzema szewronami na rękę, co znaczyło dwadzieścia lat służby i ozdobiony krzyżem Legii honorowej, pociągnawszy ze szklarnicy, i zgasłą zapaliwszy fajkę, pokręcił sumiastego wąsa i tak zaczął:

— Mój bracie! nie z jednego się już pieca chleb jadło, bo na przyszły rok, jeśli da Bóg zdrowie, należy mi się czwarty szewron, a więc i dwadzieścia pięć lat przesłużone. Ale cóż? na pewnym rekonesansie, dyabeł mnie z koniem wepchnął w jakąś wilczą jamę;

bo choć oko wykół—ciemno było, a konia miałem waryata; więc zwała się bestya na mnie, i piersi mi kulą od kulbaki przygniótl; leżałem w szpitalu czas nie-mały; a wyszedłszy, — mając słabe piersi, podałem się o przeniesienie do piechoty, bo do domu wracać nie miałem ochoty, jeszcze w takich czasach, kiedy to żołnierz polski, należący do takiej armii sławnej, jaka była pod wodzą cesarza Francuzów Napoleona, znaczył nie mało w świecie.

— Otóż kampanię rosyjską odbyłem już jako piechur, a w przejściu przez tę dyabłą, bagnistą Berezynę, nie tyle przecież piechota ucierpiała, jak konnica: za to w rejteradzie było kuso — ale już to my Polacy nie tak dbaliśmy o zimno, co ci biedacy Francuzi — a Westfalczyki rabusie! Padało to, jak muchy, po drodze. Później pod Lipskiem, jak wiadomo, Polacy zasłaniali odwrót Francuzom: Rosyanie wiaź rznąli do nas z dział i z ręcznej broni.

Ja na szczęście byłem na przodzie naszego korpusu—i ledwieśmy przeszli most, aż tu puf! i most poszedł w powietrze, a nasi zostali się na drugim brzegu. Czyja to ta szatańska sprawa była, dotąd niewiadomo. W chwili jednej rzeka Elstera napełniła się pływ-

naćmi, co woleli ginąć, niż się poddać; mało kto przebrnął szczęśliwie. Nasz dzielny książe Józef widziałem, jak się stoczył z konia, bo trzy razy był już ranny. Płakałem, jak dziecko! ba! toż nietylko ja płakałem; a jak nie było płakać, kiedy poszedł na dno—i zniknął na wieki! a rady żadnej dać mu nie było można. Sa-credieu!

Marszałek Francyi, Macdonald, co tuż za księciem płynął, byłby doznał tego samego losu, bo koń jego nie mógł się wydrapać na wysoki przeciwny brzeg; już się walił w tył, gdym przypadł, porwał szczęśliwie za cugle, pociągnął silnie, tak, że koń się wygramolił, i marszałka ocaliłem; a choć to było śród popłochu, miałem tyle czasu, że oderwał ze swoich piersi wstążkę, którą widzicie przy moim krzyżu, i dał mi ją; do pułku na drugi dzień przyszedł rozkaz dzienny, w którym ogłoszono przed frontem, że za uratowanie życia marszałkowi zostaje ozdobiony legią, a nadto w dowód zadowolenia jego z mojej osoby, posunięty zostaje na podoficera! No, przyznajcie, że tu więcej było szczęścia, niż zasługi.

W wojsku, tak jak w całym świecie: jak fortuna się frontem do kogo obróci, to mu idzie wszystko, jak

chleb z masłem; a niech się kto inny, jak chce, stara i zabiega, kiedy się licho jakieś uweźmie na niego, to mu nie nie pomoże, zawsze będzie w tyle i na dole;— ot, najlepszy przykład z naszego czwartego liniowego pułku...

Dyabeł wie, co sobie w nim odrazu Wielki ksiązę upatrzył? zwyczajnie pańska fantazyja, bo to, panie, odpuść! same wisusy, bo gdzie ze świata napędzono za różne sprawki, co już u ludzi nie mogło się wychować, przyszło—i do czwartego liniowego się zaciągnęło; i dla tego też każdy czwartak mógłby lekcyce dawać, jak się po formie kłamię; a tymczasem to się spodobało—no, i cóż? dziś prawda, tęgi jest — a może i najlepiej wyrobiony pułk, a dla czego? bo już wiedzą, że ksiązę ma na niego oczy zwrócone, to pracują nad nimi, jak nad dziećmi, dobierają im ludzi pięknych, zgrabnych, a teraz nawet i porządnych wcale — ba! już nie dbają i panicze, i synowie jaśnie wielmożnych, że oni tam taką złą renomę mają, ale cisną się na kadetów, bo im z tem potem dobrze. I rekrut szczęśliwy, jak się tam dostanie, bo to, co gdzie nie ujdzie, w czwartym liniowym ujdzie, bo tam każdy żołnierz ma, dyabeł wie za co, jakiś przywilej, żeby



Żołnierz pieszy b. wojska polskiego.

bąki zbijał, pił, w karty grał, księcia samego okpiwał, i za to jeszcze na posyłkach kawę spijał i ruble brał, a nawet na obiady do Belwederu jeździł.

Trzeba wam wiedzieć — bo to wy nie widzieliście tak jak ja, początku organizacyi w 1815 roku — kiedy to Wielki książę objął naczelne dowództwo nad wojskiem polskim: O! nie był on to wtenczas takim, jak dziś — co go już żona Polka ugłaskała, i choć czasem jeszcze groźny, ale już nie taki, jak wtedy?

O! zgroza mówić, co się działo! Wielu chłopców młodych umarło w szpitalach.

Raz padł gniew wielkiego księcia na kuzyna generała Chłopickiego; a był w szkole podchorążych z 5-go pułku piechoty.

Właśnie niedawno co wyszedł surowy rozkaz, żeby żaden żołnierz, podoficer, kadet, ani podchorąży, nie ważył się włosów długich nosić, a tem bardziej fryzować, lub zacierać do góry — lecz forma była wydana. ot, taka, jak dziś, krótko zgolić i kwita!

Ale młody Chłopicki, znać ufny był w to, że ma stryja generałem, co go nietylko cała Europa z Hiszpanii zna, ale i zucha, coby sobie w kaszę dmuchać

nie dał, choćby nawet i Wielkiemu księciu — sapristi! Więc żal było paniczowi pięknych blond włosów i pozostawił sobie po bokach utrefione faworyciki, które z pod furażerki pięknie wyglądały.

Raz, kiedy sobie przez Krakowskie Przedmieście paradyje, aż tu pędzi dorożką kto? Wielki książę. Zdaleka już spostrzegł—bo oko ma, jak ostrowidz,—że to jakiś fanfaronik, włosy ma nie po formie: dojechał go, kazał stanąć i wraz zapytał:

— Co ty za jeden?

A ten odpowiedział:

— Podchorąży Chłopicki.

Wielki książę, który generała nie lubił od początku i zawsze go bandytą napoleońskim nazywał — jak i dotąd, kiedy zły, mianuje nas napoleończyków — kazał mu wsiąść za dorożkę, i zawiózł pod Białego orła.

Komendantowi warty kazał go aresztować, a na drugi dzień pięćdziesiąt pałek mu odliczyć — i po paradyzie raport o tem na piśmie sobie zdać.

Komendant warty naturalnie doniósł o tem natychmiast generałowi. Chłopicki, jak jest raptus, wpadł do generałów Krasińskiego, Żółtowskiego, Roźnickiego, Sta-

sia Potockiego i wszystkich starych napoleończyków— opowiedział im, co zaszło, i zaklął na słowo honoru, aby się podali do dymisji, co mu oni przyrzekli.

Na drugi dzień, wziął z sobą kuzyna z odwachu, do Brühlowskiego pałacu, i gdy po paradzie, i po zameldowaniu się pieszych posyłek, książę miał raporta odbierać — wchodzi generał Chłopicki: skoro go ujrzał książę Konstanty, natychmiast rzekł do niego:

— Chłopicki! a czy ty wiesz, że twój kuzyn za niesubordynację i niedopełnienie przepisów, jest aresztowany i dostał 50 pałek, he?

— Nie, mości książę — odparł generał — podchodzą Chłopicki stoi tu, za plecami generała Chłopickiego — wskazał na drzwi, które otworzył, i wprowadził swego kuzyna do sali. — A ktoby go się poważyl dotknąć,—mówił dalej—ten musiałby wprzód do niego dostać się przez tę pierś—a teraz, mam honor złożyć moją dymisję.

W tej chwili wchodzi wszyscy prawie generałowie i składają dymisję.

Wtenczas wielki książę, nie wiedząc co robić, zaczął chodzić po sali, coś z cicha po francusku i po ro-

syjsku do siebie mówić, pięści zaciskać; nareszcie przystąpił do nich i rzekł:

— Moi panowie,— ja waszych dymisyi nie przyjmuję, ale doniosę o tem memu bratu, waszemu cesarzowi i królowi; niech on ją przyjmie, jeżeli mu się podoba?... Co do mnie, może być, że nadto żywo czasem czuję uchybienia przeciw subordynacyi, ale musicie się zastosować do rozporządzeń i przepisów, jakie dla wojska poddanego pod moje naczelne dowództwo, są ustanowione; ja tu widzę między młodzieżą, tylko opór i hardość; tę przełamać— jest moją powinnością — punktem honoru. Idźcie, — wysyłam sztafetę dziś do Petersburga.

O młodym Chłopickim nie rzekł ani słowa, jakby go nie widział.

Wkrótce nadbiegł kuryer—wioząc ujmujący, własnoręczny list Aleksandra do generałów, i tłómacząc porywczosć brata, którego napomniiał, a ich prosząc, aby w samym początku — nie dawali złęgo przykładu wojsku i nie osieracali tych weteranów, których szczątki, znane światu z waleczności, sami do ojczyzny przyprowadzili; że ma nadzieję, że zostaną na jego prośbę i służyć zechcą nadal swojemu krajowi i t. p.

Na podobne słodycze — nie było co odpowiedzieć; wszyscy pozostali, tylko Chłopicki jeden uparł się i wziął dymisyę: odtąd najwięcej przebywa we Francyi, gdzie pobiera pensyę, a jak przyjedzie do Warszawy, to na Saskim placu bywa po cywilnemu, a ksiązę Konstanty, który go jeszcze bardziej nie cierpi, ale nie okazuje tego, często bardzo oprowadza go pod rękę po przed szeregi, i chwali się, co to on z polskiego żołnierza porobił!...

— I cóż na to Chłopicki?—zapytaliśmy.

— Widzę to, mości ksiązę, widzę — zwykle odpowiada krótko—i ręce w tył założywszy, chodzi sobie po placu.

— A cóż się z jego kuzynem stało?

— Na drugi rok został oficerem, posłużył z rok i wziął dymisyę. Odtąd ksiązę zmiękł, zwolniał jakoś i z innej bęcзки, jak to mówią, zaczął.

Nie obejdzie się i teraz jeszcze bez tego, żeby się komuś coś nie oberwało, i to uczciwie! Albo, żeby całej parady, jak zły humor padnie na niego, nie zostawił czasem na placu, bez rozkazu odstąpienia nieraz i przez całą dobę—na koniach i pod bronią; albo, żeby nie zbeczczecił całego sztandaru publicznie. Ale to

już nie tak często się zdarza; otrzaskaliśmy się z tem teraz, i jak to mówią, z innej beczki częściej do nas pije, i lepiej podobno sam na tem wychodzi.

Nazajutrz po tych gawędach, — pisze dalej Goczalkowski — przedstawiony zostałem jenerałowi Żymirskiemu, lecz ten, żałując mocno, że ma już bardzo wielu kadetów w pułku, nie przyjął mnie. Cóż tedy było robić? W duszy rad, że mam sam przed sobą wymówkę, zostałem ułanem pierwszego — najpiękniejszego w całej armii pułku. Stał on tylko na jeden rok służbowy w Warszawie, garnizonował zaś zwykle w Podlaskiem. Przeznaczono mnie do szwadronu drugiego, stojącego na Pradze — i odesłano tam przez podoficera.

ROZDZIAŁ III.

Pierwsze kroki w pułku.

Był to mroźny, wietrzny grudniowy wieczór.

Szwadron przed długą stajnią stał sformowany w dwa szeregi do apelu.

Przed frontem chodził w kurtce, baranami podbitej, z harapem w rękę, około 50-letni, z obwisłymi nad oczami płowemi brwiami — i ogromnemi wąsami, niedbale pochylony, w towarzystwie oficerów, komendant szwadronu, kapitan Jarosiewicz.

Zbliżywszy się na piętnaście kroków, odprowadzający mnie podoficer szepnął mi do ucha, abym czapkę zdjął.

Zrazu wpatrzyłem się w niego wielkimi oczyma, bom pojąć nie mógł, żeby człowiek dobrze wychowany—był kiedykolwiek wystawionym na konieczność stania przed kimkolwiek z odkrytą głową, w postawie służebniczej, szedłem więc dalej, nie zważając na przestrożę; ale za chwilę, gdyśmy już parę kroków od kapitana byli, mój podoficer, ujrzawszy moją cywilną czapkę dotąd na głowie, konwulsyjnie prawie szarpnął mię za rękę i przytłumionym zawołał głosem:

— Czapka z głowy!

Cóż było robić? nie było już czasu do namysłu, ani do walki — z oburzoną ambycją—zjąłem czapkę! Przyznam się jednak, że w tej chwili uczułem w duszy coś, jakby żal za matką, za szkołami, za wolnością, — nawet za stryjem! i jakaś mnie trwoga ogarnęła.

— Melduję panu kapitanowi—rzekł służbowym tonem, i przystępując do kapitana miarowym krokiem, mój podoficer.

— A co tam nowego?— odwróciwszy się, zapytał z mazurską, grubym gardłowym głosem.

— Przyprowadzam ochotnika, przeznaczonego do szwadronu drugiego.

Tu dopiero z pod gęstych brwi—spojrzał kapitan na mnie, stojącego we fraku i letnim wreszcie ubiorze, z czapką w rękę, z dość niepocieszoną miną: obejrzał mnie od stóp do głów — i rzekł w końcu z niechęcią:

— Hm, i co mi po tem? a co ja tu z nim będę robił? Tu ludzie sami wyrobieni — niema czasu rekrutów uczyć. A skąd to wason, he?...

— Z Krakowskiego—odrzekłem.

— Hm, ztamtąd dobre jeźdźcy; i wason masz długie nogi, to powinienes być zręcznym do konia; ale trzeba ci było jeszcze do lata chociaż u mamuni kaszkę z mlekiem papać, bo to w zimie twarda służba u nas, a do tego — dla takiego, jak wason, dziecka... A no! Wachmistrzu! a daj mu tam kwaterę z jakim starym żołnierzem, żeby go z sobą obznajmił, a jak się zowiesz?

Powiedziałem mu moje nazwisko.

— Szlachcic?—potwierdziłem.

— No, to wason pamiętaj na siebie i bądź porządnym żołnierzem, jeśli chcesz, żeby ci u nas dobrze było.

Takie było przyjęcie mnie i początek tej nowej karyery.

Na kwaterze jedno łóżko szerokie, na niem grube prześcieradło—dwie słomą wypchane poduszki, dwa koce — służyły na dwie osoby. Ja przybyłem trzeci, dodano więc jeden jeszcze koc i takąż poduszkę; a wspólne łoże dzielić miałem z mymi nowymi towarzyszami. Jeden z nich był młody — dopiero co z rezerwy do pułku przybyły—przeszłoroczny rekrut; a drugi stary, ponury, ale poczciwy. Napoleoński jeszcze wiarus, który nam obydwom miał służyć za „dziadka“, to jest za mentora i nauczyciela początkowej służby.

— No, roztasuj się, panie kolego! — rzekł do mnie, przybywszy do kwatery, — dziś zjedz z nami co tam nagotowano, a jutro dostaniesz chleba i mięsa, więc będziesz miał i swoją porcyę.

— Mniejsza o chleb i mięso—odrzekłem, — mam jeszcze za co żyć, byle mundur dostać.

— A, to będzie trudniej, bo tu niema nadkompletnych ubiorów, komora została w garnizonie— chyba by ktoś ubył.

Nie pojąłem znaczenia ostatniego wyrazu i nie pytałem o to— bo gospodyni postawiła na stole miszkę z krupnikiem, z którego dwa kawałki mięsa wyglądały. Na rozbitym talerzyku przyniosła trochę szarej soli i trzy drewniane łyżki położyła obok.

Zaproszono mnie do tej pierwszej rzetelnie żołnierskiej wieszery, w której niepoślednie miejsce trzymał sławny brykała—chleb żołnierski, jak kamień wypieczony, ale dość smaczny, a później, gdy się głód nie raz dał we znaki — kapitalny! Prawiem nic nie jadł. Pokiwał głową nasz „dziadek“, i jakby na przekór memu przekonaniu, wykrzyknął:

— Wyborny krupnik! tylko szkoda, że mało! Oho! paniczu, doczekamy my się tego, że ci ta nasza żołnierska strawa tak zasmakuje, że nie popatrzyś nawet na żadne tam marcepany, choćby cię i niemi częstowali; bo to, mosanie, niema jak krupnik, który zawsze i wszędzie za nami, kawał uczciwy wołowiny z solą, a do tego brykały, jak podjesz sobie, toś silny, jak dąb. Bo brykała, to nie żaden pytlowany, niemiecki jakiś tam „zemel“, co do daru Bożego niepodobien. Ot, bracie kolego, chcesz być żołnierzem, jak Bóg przykazał, wierz w krupnik, w wołowinę i brykałę— bo co resz-

ta, to czartu tylko na pociechę, a nie chrześcijańskiemu człeku!

Za całą odpowiedź westchnąłem sobie tylko, bom miał to przekonanie, że krupnik, wołowina i brykała nie są jeszaze kwintesencją gastronomii, alem się nie sprzeczał.

Zdało mi się, żem dopiero co usnął, bom długo w noc rozmyślał nad tem nowem, nie bardzo w różowych kolorach przedstawiającem mi się położeniem mojem, gdym się uczuł trąconym w bok od mego kolegi; zerwałem się, a widząc głęboką noc, zapytałem, dla czego mnie budzi?..

— Trzeba wstać! — rzekł do mnie.

— A to po co i gdzie, na taką noc?

— Pobudkę trąbią — już czwarta godzina — czas do stajni.

— Winszuję!... — pomyślałem sobie — pięknie się zaczyna owe zachwalane ulańskie życie!

— Ależ ja tam nie mam po co chodzić, bo konia nie mam.

— Ale ja mam — odrzekł stary, wstając: — trzeba się przypatrzeć i uczyć, chociaż na cudzym teraz, jak się to konia czyści, karmi, poi, kulbaczy i t. p., to po-

tem jakbyś znalazł tę naukę, gdy swego dostaniesz — a czy ci to, bracie, dziwota zresztą — ranne wstanie? Przecież, jak uważam, musisz być albo z dworskiej służby, albo od jakiego cechu — a tam, jak jedni tak drudzy gospodarze, chyba czeladzi nie pozwalają dośypiać.

— Za co on mnie bierze? — pomyślałem sobie — a krew mi z oburzenia sunęła do głowy, ale — nie chciałem się tłumaczyć — więc wstałem, ziewając.

Oni opięli się w płaszcze, ponakrywali się do tego końskimi derkami, a ja we fraczku, o godzinie 4-ej rano, w końcu grudnia — od rogatek grochowskich, aż pod most, gdzie stajnie nasze były, biegłem chuchając w ręce — i drząc od zimna.

Widząc to stary — nic nie mówiąc, zarzucił na mnie końską darę, bo bym był przemarzł. Pocciwy stary!

Tak było co dnia przez parę tygodni.

O mundur doprosić się nie mogłem, bo ich nie było w Warszawie; służby nie robiłem żadnej, co mnie mocniej bolało, a poniżało w oczach tej wiary, chciwej na pochwylenie każdej śmiesznej strony, gdzie się tylko nadarzyła.

Byłem więc wytykany palcem, i przedmiotem zawsze niekorzystnych dla mnie, rozlicznych domysłów i satyrycznych uwag.

Ileż to razy gdzieś w kącie zapłakałem sobie rzewnie nieraz, gdy zziębnięty, źle okryty — musiałem siano lub owies z workiem na plecach nosić, kikanaście bochnów chleba, ćwierć mięsa lub wodę ciągnąć ze studni i nosić w kuble dla konia.

O! w takich chwilach, doznawałem niepojętego żalu za tą, jakąkolwiek ona już była przeszłością, niepowrotną jednak dla mnie, i tylko pamięć na matkę, na jej rady i religia, którą tak głęboko we mnie wpoła, ochraniała mnie od rozpacz i męstwa dodawała.

Pewnego dnia, kiedy po rannem oczyszczeniu koni, zabieraliśmy się do kwater, zawołano mnie do wachmistrza szwadronowego, który mi oświadczył, że ponieważ idzie transport z dwoma rekrutami do szwadronu rezerwowego do Węgrowa, więc i ja z nimi mam być natychmiast gotowy w marsz.

Oslupiałem na tę wiadomość, nie pojmwiałem bowiem, jakbym zdołał siedemnastomilową drogę w po-

rze zimowej, piechotą i bez żadnego ciepłego odzienia wytrwać? Z płaczem więc prawie począłem przekładać i prosić, aby można odwlec ten marsz na później.

— Ha! idź do kapitana, może cię uwolni od tej drogi na teraz, ale wątpię, bo już rozkaz wyszedł i raport do sztabu posłano.

Poszedłem do kapitana.

— Co „wason“ powiesz?

— Przyszedłem prosić pana kapitana, abys mi się z marszem do rezerwy wstrzymać dozwolił, dopokąd te mrozy nie sfolgują nieco, bo nie mam ciepłego odzienia, nie wytrzymam drogi!

— O! jak Boga kocham! żałuję bardzo, ale musisz iść, bom już raport o tem posłał do pułkownika, tam dostaniesz mundur.

— Ale ja mam prośbę do pana kapitana.

— Mów „wason“.

— Czy nie wolno by mi było prosić pana kapitana, o jaki żołnierski płaszcz—bo nie mam nic, czembym się mógł od tak silnego zimna zaslonić, płaszcz—na drogę tylko.

— Jak Boga kocham! słowo honoru! dałbym ci, moje dziecko, żebyś miał, ale nie mam ani jednego

luźnego, ba nawet, jak na złość, żaden dotąd w szpitalu nie umarł, po którym byś mógł płaszcz wziąć. Nie mam, dalibóg nie mam! Bądźże mi zdrów, kłaniaj się, wason, ode mnie kapitanowi Lisickiemu, i sprawuj się tam dobrze!

Wyszedłem, jakby skazany na śmierć, z boleścią i rozpaczą w sercu! A jednak ten okropny marsz, pospolu z dwoma mymi kolegami, wziętymi w rekruty, z których jeden był podobno furmanem, a drugi kucharzem,—z ich prawie pomocą, bo mieli dobre kożuchy, któremi mię poczciwcy koleją okrywali i pieniądze, których w drodze nie skąpili i dla mnie, wytrzymałem i zdrów zaszedłem do Węgrowa, gdzie stał sztab szwadronu rezerwowego, przeznaczonego na naukę służby nowozaciężnych.

— Cóż robić? — rzekłem w końcu z rezygnacją do siebie, a wspomniawszy na nasze polskie „jakoś to być musi“, ubrałem się po raz pierwszy w mundur, który mógłby był bezpiecznie pomieścić w sobie dwóch takich, jak ja, cienkuszów, a z którego ja jednak bardzo byłem kontent, bom się raz przecie rozstał z moim arcy już ażurowym fraczkiem; nasadziłem z fantazją na lewe ucho furażerkę i posunąłem się z dobrą miną do

karczmy, gdzie co wieczora zbierał się cały szwadron.

Aż ciemno było w izbie od fajczanego dymu, a gwarno, a hałaśno, jak na sejmiku! Stare wiarusy napoleończyki, o sumiastych wąsach, o licznych szramach na wspaniałych i marsowych obliczach, z krzyżami Legii i Virtuti, z czapkami na samym uchu, kolistemi płaszczami na ramionach i rozpuszczonymi palaszami rej wodzili.

Opowiadali oni młodym żołnierzom swoje wyprawy, liczne przygody, prawili o cudzych i własnych cudach waleczności, o cesarzu Napoleonie i o jego marszałkach, o księciu Józefie i t. d., w zamian za krążące kubki pieniającej się anyżówki, której—ku zyskaniu względów i zasłużeniu opieki, i nie jednej nauki w początkowej służbie—nie szczędzili rekruci.

Początkowe miesiące mojej służby szły mi wprawdzie trudno, nim nawyknąć zdołałem do ciężkiej pracy, a wyęczeniela nająć nie było za co. Nauka musztry, konnych ćwiczeń i robienia bronią — łatwiej mi przychodziły, bom do tego miał szczerą ochotę.

W lecie, kiedy piechota wyszła do obozu, pułki kawaleryi ściągaly się na rewię—i stawały po wsiach,

a szwadrony rezerwowe wszystkich pułków kawaleryi szły na służbę do Zamościa.

Ciężka to nader była służba w tym Zamościu! Staliśmy w koszarach, każdego dnia część garnizonu przeznaczona była na warty po różnych odwachach fortecy, druga na straż więźniów wojskowych i politycznych, a trzecia spoczywała; a więc dwa dni było służby, a trzeci spoczynku.

Tego roku okropny pożar omal że całego Zamościa nie zniszczył. Pewnej niedzieli wieczorem szpital miejski stanął w płomieniach. Ztamtąd, ponieważ Zamość jest wewnątrz mocno ściśniony, ogień przerzuciło w rynek, gdzie suche od upalów wciąż trwające dachy, wnet się zajęły. W okamgnieniu ogień ogarnął wszystko dokoła!

Popłoch, trwoga mieszkańców była nie do opisania, płomienie bowiem niszczyły już domy graniczące z arsenałem, gdzie były ogromne składy prochu, granatu i bomb.

Domów zgorzało siedemdziesiąt cztery owej nocy, ale porządek utrzymany został, i z pomocą-li naszą żaden gmach publiczny naruszonym nie był.

W kilka tygodni zjechał wielki książę Konstanty.

Tego dnia oczekiwaliśmy go w największej paradzie. Ja właśnie byłem na warcie i przeznaczony do przyjmowania go w bramie.

Skoro dano znać, że już jedzie, stanąłem, przystąpiłem do samych drzwiczek—i zapytałem:

— Mam honor pytać, kto? skąd? i dokąd jedzie?

Konstanty wyjął z ust cygaro, uchylił ceratowego podróżnego kaszkieta i odrzekł:

— Wielki książę Konstanty z Warszawy do Zamościa.

Wtenczas zawołałem głośno:

— Warta do broni!

Cała warta do broni wystąpiła, generałmarsz odtrąpiono i sprezentowano broń.

On zwolna wszystkich zmierzyl od stóp do głów, ręką się skłonił przychylnie, i popędził do domu gubernatora, generała Hurtig.

W pierwszych dniach października, piechota wróciła z obozu na zimę do Zamościa i nas zluzowała ze służby. Ja zaś już nie wróciłem do Węgrowa, lecz do

sztabu pułku do Lubartowa z kilku innymi, którzy już służbę znali, odesłany zostałem.

Gdyśmy przybyli do Lubartowa i na rynku stanęli, a dowódca pułku Tomicki i sztab cały wyszedł obejrzeć nas i do właściwych szwadronów przydzielić, naraz slysze jednego z oficerów, pytających się o mnie. Wnet wywołany zostałem przed front. Oficer ten, popatrzwszy na mnie z uwagą, zapytał wreszcie:

— Jesteś kuzynem generała Załuskiego?

— Tak jest — odrzekłem, mocno zdziwiony tem zapytaniem.

— Generał polecił mi wasana.

Tytułowanie wasan było już pewną dystynkcyą, używaną tylko względem kadetów i podoficerów; a dopiero oficer namaszczanym bywał na „pana“.

— Generał prosił o opiekę nad tobą. Tu oto jest list do niego. Przyjdiesz później do mojej kwatery.

Odbierając list od porucznika, poczułem, że nie jest próżny, serce gwałtownie bić mi poczęło, przeczuwałem bowiem, że moje położenie zmieni się od tej chwili; jakoż tak się stało w istocie.

Moi koledzy, którzy dotąd z lekka mię tylko traktowali, usłyszawszy, że porucznik ma się wyłącznie mną opiekować, że generał jest moim kuzynem, widząc, że odebrałem list od niego, naraz innymi ludźmi stali się dla mnie, grzecznościami mnie obsypywali, wszystko w tym dniu za mnie robili, nieproszeni nawet. Przeczuwali hultaje, że w liście tym były dukaty!

Jakoż istotnie, zacny generał, dowiedziawszy się od matki mojej, że sam bez protekcyi i pomocy zaciągnąłem się do wojska, poruczył mię opiece swego dawnego znajomego, porucznika Łodzińskiego, przysłał mi kilkanaście dukatów na oporządzenie się, zachęcając do wytrwałości, i przyrzekł pamięć o mnie. Obietnicy tej dotrzymał.

Dzięki jemu właśnie zostałem kadetem.

Dano mi urlop, pojechałem do matki.

Jakaż to była radość tej dobrej, pocziwej, drogiej matki i rodzeństwa mego, gdym pewnego wieczora na raz, niespodzianie stanął we drzwiach w ułańskim mundurze... Ach, tego opisać trudno!

Nie tak się może pyszniła i radowała Letycya Bonaparte w dzień koronacyi syna swego, ile mną matka moja!...

Bawiłem z kochaną rodziną przez dwa miesiące.

Pocziwa matka zmogła się na tyle, że mi co miesiąc zapewniła 30 złp. dochodu. Tym sposobem przyzwolte już w wojsku prowadzić mogłem życie, powróciwszy z urlopu.

W roku następnym 1828, pierwszy raz cesarz Mikołaj, po wstąpieniu na tron, zwiedzał Polskę. Pod Krasnymstawem zakupiono grunt od księdza kilkomorgowy ze zbożem, już żrałem, i tam mieliśmy przed cesarzem rewie. Pamiętam, jak konie płatały się i padały z jeźdźcami w grochu, a z żyta lby tylko końskie jak z bałwanów morskich widać było.

Ale Wielki książę Konstanty chciał pokazać bratu, jak wyrobił kawaleryę polską, że dla niej niema żadnych przeszkód tam, gdzie ją wola lub fantazyja jego popchnąć raczy.

W zimie szwadrony stały po małych miasteczkach, w Podlaskiem województwie, na lato zaś zbierała się cała dywizya ułanów, to jest cztery pułki, pod Łęczną na rewie. Staliśmy w Lubelskiem dokoła Łęczny po wsiach.

Dwa razy w tydzień, na obszernych błoniach pod Łęczną, przypadały rewie całej dywizyi, którą od tego

placu wokoło na dwie mile odległości kwaterowano po różnych wsiach.

Bywało— z wieczora o godzinie dziesiątej, kulbaczono konie i dawano ranny obrok, o godzinie dwunastej wsiadano na koń, maszerowano całą noc, a na godzinę czwartą z rana ściągaliśmy się na plac.

Tam czyszczono się, każdy posilił się tem, co z sobą przywiózł, czekano na generałów.

O godzinie 8-ej zaczynały się manewra, i trwały do godziny 1-ej lub 2-ej. Na godzinę 6-tą wieczór dopiero stawaliśmy głodni i znużeni napowrót w kwaterach.

Wspaniały też to był widok dla przypatrującego się ten manewr całej dywizyi! Owe cztery kolory, amarant, biały, żółty i niebieski, na koniach jednej maści, gniadych, siwych, kasztanowatych i karych, wyglądały zdala, jak kwitnący mak. Na czele tych pułków, jak ironia lekkiej kawaleryi postępowali sławnej grubości pułkownicy: Tomicki, Dwernicki i Korytowski. Jeden Rutier, dowódca 4-go pułku, był tylko jak prawdziwy ułan, suchy i długi. Ale mimo to kochano Tomickiego i Dwernickiego; co się tyczy Korytowskiego, nie cierpiało go wojsko, i dobre miało przecucie, pokazało się w roku 1831, że zasługiwał na tę nienawiść.

Za zimę ściągaliśmy do garnizonów, a mianowicie naszego pułku szwadrony stały w miasteczkach: Ostrowie, Parczewie, a w Lubartowie sztab pułku. Kadetów z całego pułku wybierano takich, którzy mieli protekcję, do szkoły pułkowej. Szkoła była przy sztabie, jako przygotowawcza do szkoły podchorążych. Było w r. 1828 wszystkich 20 przeszło, nosili galonki podoficerskie i służbę podoficera pełnili. Uczono rysunków, fechtunku, historii, geografii i teorii wojskowej. Stali w koszarach porządnych, na osobnym stole, za własne pieniądze, przedstawiali oni arystokracją pułkową. Wojsko zaś stało po kwaterach.

ROZDZIAŁ IV.

Bitwa pod Grochowem.

W listopadzie roku 1830 wybuchło w Warszawie zbrojne powstanie. Wielki książę Konstanty ustąpił z Warszawy na czele pułków rosyjskich. Oczy całego kraju zwróciły się na armię polską. Utworzył się rząd narodowy, złożony z ks. Czartoryskiego, W. Niemojewskiego, Małachowskiego i Barzykowskiego. Tymczasem wojska rosyjskie zbliżyły się ku granicom Królestwa *).

Oprócz sił głównych, w ogólnej sile 150,000 lu-

*) Historia XIX stulecia. Rozdział ten dla lepszego zrozumienia całości przytaczamy nie według pamiętników Gołczakowskiego.

dzi i 400 armat, trzy oddzielne korpusy przeznaczone zostały do utrzymania spokoju ziem litewsko - ruskich. Jądro armii rosyjskiej składało się z żołnierza zaprawionego do boju w wojnach perskiej i tureckiej. Wódz naczelny, feldmarszałek Jan Karol Dybicz Zabalkański, Niemiec szląski, czy też szlązak ziemczony, uchodził za najpierwszą powagę wojskową i używany był oprócz tego do rozmaitych poufnych poselstw dyplomatycznych.

Wkraczali Rosyanie na całej wschodniej linii granicznej od Kowna i północy do Włodawy, do Uściługa na południu; dwa główne korpusy, Pahlena i Rozena, przeprawiwszy się przez Narew pod Tykocinem i Sużajem połączyły się w Węgrowie Podlaskiem 12 lutego, tak, iż odtąd Dybicz każdej chwili pchnąć mógł do walnego boju spoistą masę 80,000 żołnierzy. Za Pahlenem postępował Witt z korpusem jazdy, za Rozenem wielki książę Konstanty z rezerwami; grenadyery księcia Szachowskiego ociągnęli się nieco przy przeprawie przez Niemen, oglądając się na gwardye, które za nimi prowadził wielki książę Michał.

Osobny korpus Kreutza już w dniu 9 lutego zajął Lublin i wspierany przez Geismara, ostrożnie

próbował dostać się pod Puławami na lewy brzeg Wisły.

Była to dywersja; za główny teren walki Dybicz obrał północną część Królestwa, najformalniej przyrzekając Cesarzowi Mikołajowi I-mu, że za sześć tygodni najdalej złamie wojsko polskie pod Pragę, przejdzie Wisłę po lodzie i będzie miał czas do Wielkiej Nocy należycie wypocząć w Warszawie.

Polacy przeciwstawić mogli tym siłom do 80,000 szeregowców starego i nowego autoramentu i dział najwyżej 200; nie posiadali ani wystarczających zapasów broni, ani zdolnych, doświadczonych oficerów niższych stopni.

Do komendy naczelnej dał się w krytycznej chwili nakłonić generał Józef Chłopicki, pod warunkiem, że nominalnie dowodzić będzie książe Michał Radziwiłł.

Główna część sił zbrojnych, zgromadzona w początkach lutego między Narwią i Liwcem, po długich pochodach składała się z 44-ch batalionów piechoty (38,000), 70 szwadronów jazdy 10,000, i dział 130. Piechotą, podzieloną na cztery dywizye, dowodzili: Krukowiecki pierwszą, Żymirski drugą, Skrzynecki trzecią, Szembek czwartą.

Na czele czterech dywizji jazdy stali, pod naczel-
nem dowództwem Weysenhofa: Jankowski, Suchorzew-
ski, Tomasz Lubieński i Kaz. Skarzyński.

Najdalej na wschód posuniętymi dywizjami były:
piesza Żymirskiego i konna Suchorzewskiego. Za nie-
mi, nieco w tyle, Krukowiecki opierał się o Narew,
Szembek o Liwiec; środek zajmował Skrzynecki; jazda
Jankowskiego rekognoskowała okolice Pułtuska.

Wkrótce powołani zostali: Wojciech Chrzanowski
na szefa głównego sztabu, Ignacy Prądyński na kwar-
termistrza generalnego, Kołaczkowski na dowódcę in-
żynierii polnej, Konarski na dowódcę artylerii, Turno
na szefa sztabu jazdy.

Na lewym brzegu Wisły, pod generałem Stani-
sławem Klickim (dowódcą strzelców konnych w następ-
stwie po księciu Sułkowskim), było cztery bataliony
młodziutkiej piechoty i jazdy 28 szwadronów, dowo-
dzonych przez generałów: Sierawskiego, Dwernickiego
i Dziekońskiego.

W Warszawie, okrom 6,000 gwardyi narodowej,
znajdowały się dwa bataliony piesze i szwadron jazdy;
w Zamościu, pod Krysińskim, cztery bataliony.

W Modlinie, pod Ignacym Ledóchowskim trzy.

Ogólny kierunek nad administracją i gospodarczą organizacją obrony obejmuje generał służby czynnej, Morawski, jako minister wojny.

Wkroczywszy na lewy brzeg dolnego Bugu, armia Dybicza maszerowała prosto ku Warszawie, za ustępującymi wojskami powstańcami. Geismar otrzymał rozkaz obejścia Żymirskiego i odcięcia go od reszty sił polskich.

Dobrze pomyślany ten manewr zniweczyła atoli przezorność generała Klickiego, który wcześniej polecił był Dwernickiemu przejść z lewego na prawy brzeg Wisły i śledzić obroty usuwającego się na wschód Geismara.

W dniu 14 lutego, przyszło między Dwernickim a Geismarem do gorącego spotkania pod Stoczkiem, a pierwsze to starcie i pierwsze zwycięstwo powstańców, dodało otuchy całej ich armii.

Dwernicki, spłoszywszy Geismara, zdobywszy na nim dział jedenaste i kilkuset jeńców, sam poniósł straty nieznaczne i natychmiast powrócił na lewy brzeg Wisły, w pomoc Sierawskiemu, zagrodzonemu przez korpus Kreutza.

Dybicz tymczasem ciągle posuwał się naprzód. Szedł dwoma traktami: Stanisławowskim i Kałuszyńskim.

Pierwszego przed korpusem Rozena broniła dywizya Skrzyneckiego; na drugi korpus Pahlena parł przed sobą dywizyę Żymirskiego. W utarczkach prawie bezustannych Żymirski mocniej się opierał pod Kobiercem i Jankówkiem (ranieni generałowie Chrzanowski i Czyżewski), Skrzynecki znowu pod Dobrem, na czele ośmiu batalionów, mężnie dzień cały potykał się z Rozenem, który dużo ucierpiał od oddziału Rylskiego i tyralierki pułkowników: Andrychiewicza i Bogusławskiego.

W dniu 18 lutego, dywizya Szembeka połączyła się w Okuniewie ze Skrzyneckim; gdy zaś na Żymirskiego, zbliżającego się do Miłosnej, żywiej nacierać zaczęły połączone korpusy Rozena i Pahlena, Szembek wysunął mu się z odsieczą nieco naprzód i wnet się zawiązał na całej linii morderczy, uporczywy bój pod Wawrem (19 lutego). Polacy, straciwszy półtrzecia tysiąca ludzi, utrzymali się na placu.

Dybicz zniewolonym się uczuł powściągać atak i w pozycyi odpornej oczekiwać na przybycie grena-



Żołnierze polscy pułku 4-go piechoty liniowej.

dyerów Szachowskiego, przed którym jazda Jankowskiego zwinnymi ruchami na prawem skrzydle głównej armii rosyjskiej maskowała lewe skrzydło polskie (dywizya Krukowieckiego), rozciągnięte w okolicach Kawęczyna i Białoleki.

Dybicz, zaniepokojony o Szachowskiego, kazał wojsku wycofać się z pod Wawra.

Dla pogrzebania poległych i opatrzenia rannych, Rosyanie pierwsi zażądali zawieszenia broni. Ułożył się o nie Witt z Krukowieckim.

Obie strony odpoczywały dni kilka.

Walna bitwa grochowska pod Warszawą była tylko dalszym ciągiem boju pod Wawrem. Szło i tym razem Dybiczowi o zdobycie niewielkiego lasku olszowego, między Kawęczynem i Grochowem, panującego nad dwiema głównymi schodzącymi się tu drogami.

Owego klucza pozycyi polskiej bronił 1-go lutego czwarty pułk piechoty — pułk niegdyś Łukasińskiego, chrztem krwawym zahartowany już pod Dobrem; pod wieczór, po kilkakrotnem odparciu odświeżających się za każdym atakiem batalionów korpusu Pahlena, dziesięciatkowanych dzielnych czwartaków zastąpiła bry-

gada Antoniego Gielguda z dywizyi Krukowieckiego— i wytrwała do końca na stanowisku.

Teraz, po sześciu dniach stypy i uprzątnania poległych, feldmarszałek rosyjski zamierzył skupić przeciwko olszynie całą swą artylerję i rzucić na nią kilka korpusów piechoty; czekał w tym celu jedynie na przybycie opóźniającego się wciąż Szachowskiego, co miało nastąpić dopiero 25 lutego z rana. Ale Szachowski, pędząc przed sobą zwinne rekonesansy Jankowskiego, już 24-go ujrzał przed sobą niewielki oddział polski, osamotniony na polach Białoleki.

Była to brygada Kazimierza Małachowskiego (z 1-ej dywizyi).

Szachowski, mając pod ręką dwie pełne dywizye grenadyerów, uderza bez namysłu i zdobywa Białolekę. Nie stropiło to starego legionisty. Zamknąwszy Szachowskiemu wyjście ze zdobytego miasteczka, przetrzymał go w niem do późnej nocy. W nocy tymczasem Krukowiecki przyprowadził Małachowskiemu drugą brygadę, Gielguda właśnie (podwawerską), i gdy nad ranem bój się wznowił, a Szachowski, szarpany działami kapitana Brzozowskiego, party bagnetami jednego z batalionów pułku piątego, ustępował z Białoleki



Artylerya konna b. wojska polskiego.

z pośpiechem, zapowiadającym straty olbrzymie, niezbędność wsparcia i ocalenie grenadyerów, zniewoliła Dybicza do rozpoczęcia ognia wcześniej, niż zamierzał, na całym froncie bojowym.

Nie było to i Polakom po sercu: zaledwie bowiem od kilku godzin przemyśliwać zaczęli nad wznieśieniem tu i owdzie jakiegoś szańca, jakiejś zasłony sztucznej.

Rozłożyli się poprostu między bagnami, wzdłuż rowów i zapuszczonych kanałów: Żymirski i Skrzynecki na czele, na prawem skrzydle Szembek, oparty o łachy Wisły przy Saskiej Kępie, Krukowiecki na skrzydle lewem, w Białolece; z tyłu, za Skrzyneckim, jazda, podzielona teraz na dwa korpusy, Łubińskiego i Umińskiego. Ten drugi świeżo przybiegł na pole walki na rozstawionych koniach z więzień pruskich.

Chłopicki umieścił się w jednej z najdalej ku strażom przednim wysuniętej siedzibie wiejskiej, czytając na sposobność zabastowania gry, po ubiciu Dybiczowi jakichś tysięcy dziesięciu, dwunastu...

Była godzina dziesiąta zrana, gdy działa Dybicza

zagrały na wszystkich wydatniejszych wypukłościach płaskiego wydnokregu Grochowa.

Pod ich osłoną feldmarszałek ponownie pchnął na Olszynkę uzupełniony, odrestaurowany korpus Rozena. Tym razem w lasku i przed nim zasiadła brygada Rolanda (z dywizyi Żymirskiego), oparta skrzydłami o baterie: Piętki, Rzepeckiego, Turskiego, Niejmanowskiego na prawo, Nieszokocia, Saleckiego, Rylskiego na lewo.

Szesnaście batalionów trzeba było zużyć niemal zupełnie, dla opanowania jednej tylko krawędzi Olszynki; obsadzono ją natychmiast liczną, przemagającą artylerją, otrzymawszy rozkaz odebrania bądź co bądź straconego stanowiska.

Dywizya Żymirskiego rusza naprzód „zdmuchnąwszy proch z panewki“, ale w szalonym ogniu armatnim topnieć zaczyna w oczach; Żymirskiego, któremu kula oderwała ramię, zastępuje ze swoją dywizją Skrzynecki. Otrzymuje i Rozen posiłki.

Po trzykroć Polacy z bagnetem w rękę wchodzą do lasku i po trzykroć z niego wyparci, wracają z męstwem nieustraszonem, cześć i podziw budzącym. Chłopicki porywa pułk grenadyerów Szembeka; przy nim, na

czele kolumn skupionych naprędce, z przemieszanych naprędce dywizyi drugiej i trzeciej, stają: Prądzyński, Milberg, Skrzynecki, i przez stosy trupów wdzierają się w sam gąszcz pułków rosyjskich, zalewających Olszynkę.

Po krótkiem, straszliwym zwarciu się — piechota rosyjska ostatecznie zdaje się wypchnięta na obnażone pola Wygody...

Jazda Łubieńskiego trzyma teraz w swem ręku zwycięstwo: nagli ją do tej szarzy Chłopicki—a w tej chwili traci trzeciego z rzędu pod sobą konia, i rażony granatem w obiedwie nogi, opuszcza pole bitwy.

Formalista Łubieński dopomina się od Radziwiłła potwierdzenia rozkazu Chłopickiego; czeka, zwleka, a tymczasem moment decydujący o losach bitwy przeminął. Nie wróci już.

Polacy nie mają rezerw. Rosyane odnawiają swe siły, doczekawszy się nareszcie Szachowskiego, wypartego z Białoleki i przybywającego teraz wbić się klinem, pomiędzy lewe skrzydło Skrzyneckiego, a prawe Krukowieckiego, gdzie była znaczna luka, której jazda Umińskiego wypełnić nie mogła. Ażebym zamknąć otwór,

wypadło ścieśnić linię bojową i tym sposobem Olszynkę opuścić.

Dywizye Szembeka i Skrzyneckiego wydostały się z lasku nie bez trudu i strat ciężkich, choć cofały się bez przerwy, zwolna, walcząc z lwią odwagą bez pamięci.

W głównym sztabie Dybicza wzięto ten odwrót za oznakę porażki i popłochu. Trzy dywizye jazdy Witta (kirasyerska, busarska i ulańska), nie idą za przykładem Łubieńskiego. Uderzają bez dłuższego namysłu na dywizję Szembeka, wywracając ją pędem szalonym i poparte artylerją konną, przedzierają się aż pod samą Pragę.

Wśród ludności Warszawy, przyglądającej się olbrzymiej walce z brzegów rzeki, z okien i dachów, powstaje okrzyk przerażenia; konsul pruski, gotowego już mając gońca, wyprawia go do Berlina z wieścią, że Warszawa zdobyta...

Wtem bateria Skalskiego mięsza szyki wciąż galopującej konnicy; ośmiela się oszołomiona i trochę potłuczona piechota Szembeka; podsuwają się z swemi baterjami Piętka, Konarski, Masłowski; brygada jazdy rezerwowej Kazimierza Skarzyńskiego wrzyna się



Oficer artyleryi konnej,

w środek szwadronów rosyjskiego kirasyerskiego pułku księcia Alberta, tworzącego czoło kolumny...

Opadnięta z boków i z tyłu kolumna, wracać musi prawie stępa pod ulewą pocisków... Bitwa kończy się o zmroku, po bohaterskich wysiłkach ze stron obu.

Przed północą, wódz polski z obawy zapowiadającej się odwilży i zniesienia przez lody mostów na Wiśle, coby armię polską odgrodziło od żywności, lazaretów i zapasów amunicji, zarządził odwrót do Warszawy, który się odbył bez alarmów i niespodzianek.

Pobojowisko grochowskie zostało przy wojskach cesarsko - rosyjskich. Na Pradze Polacy pozostawili 2,000 żołnierza, dział 35 i most nierozebrany.

Dybiez nie mógł ścigać armii polskiej? Straty, które w kilku dopełniających się raportach podał feldmarszałek (do 15,000), były bezwątpienia ciężkie; ale i Polacy, w stosunku do swoich sił, prawie o połowę mniejszych, mieli co opłakiwać; ubytek ich (9 do 10 tysięcy na polu walki), wraz z chorymi i rannymi po szpitalach warszawskich, obliczano powyżej 14,000.

Odtąd w Petersburgu niezadowolenie z działalności feldmarszałka rośnie, nietylko po każdej niefortun-

nej potyczce, ale i po każdym niepowodzeniu wojsk cesarskich.

Wina Dybicza miała charakter wyłącznie papierowy, kancelaryjny — pochodziła z utartego, rutynowanego trybu składania sprawozdań. Ukrywano lub zmniejszano uchybienia, a tembardziej klęski własne, podnoszono zaś straty przeciwnika i zadane mu ciosy. Tym sposobem każdy skutek dalszy, oczekiwany w Petersburgu na mocy faktów, poprzednio niby to dokonanych, zawodził stale.

W bitwie Grochowskiej np. Polacy, według doniesień pierwotnych, byli niemal zmiążdżeni, i nic dziwnego, że Cesarz Mikołaj, po kilku dniach daremnego oczekiwania na zakończenie kampanii, pisał:

— „Niepodobna prawie uwierzyć, aby po takiej porażce nieprzyjaciel mógł ocalić swą artylerję i schronić się do Warszawy, mając jeden tylko most... Można się było spodziewać, że ujrzymy powtórzenie katastrofy berezyńskiej. Straciliśmy 8,000 ludzi—i oprócz straty mniej więcej równej u nieprzyjaciela, niema żadnego innego skutku. To bardzo smutne“.

Nie zbywało wprawdzie i w Warszawie na inkry-

minacyach, ale współrzędnie, przyznawszy się do błędów, starano się je w armii polskiej naprawić.

Na miejsce Radziwiłła powołano do buławy hetmańskiej Skrzyneckiego (26 lutego), którego dywizję oddano Kazimierzowi Małachowskiemu; zbyt skrupulatnego, gdziekolwiek chodziło o nieczynność Krukowskiego, zrobiono gubernatorem Warszawy; dywizję po nim wziął Rybiński. Żymirskiego zaś zastąpił Gielgud.

Milbergowi z uwagi, że w krytycznej chwili ostatniego ataku na Olszynkę grochowską nie wahał się ująć za karabin, jak prosty szeregowiec, dano dowództwo dywizyi.

Przewidując, po bitwie grochowskiej, długą jeszcze i upartą walkę, Dybicz próbował najprzód układów i wystosował do komendanta twierdzy modlińskiej list, namawiający go do kapitulacyi, ale otrzymał odpowiedź niepomyślną. Kazał Kreutzowi, gojącemu rany swego korpusu w lubelskiem, zająć Puławy, których nie opuściły matka, żona i siostra prezesa rządu powstańczego—Czartoryskiego.

Wykonanie tego projektu, który w Europie wywołał niekorzystne wrażenie, podjął się siostrzeniec

księcia Czartoryskiego, Adam książę wirtemberski, — Dwernicki jednak zmusił go do odwrotu.

Wreszcie, nie odważywszy się atakować Warszawy z prawego brzegu Wisły, od strony Pragi, feldmarszałek postanowił dostać się na brzeg prawy; zamiast jednak skoncentrować swe siły w tym celu, rozdrobnił je nieomal po całej wschodniej połowie Królestwa. Kreutza posunął za Dwernickim pod Zamość, Rozenowi i Geismarowi polecił obserwować Warszawę, gwardye pozostawił w Augustowskiem, około Rajgradu—i dopiero z resztą swojego wojska, rozwleczonego aż do Siedlec, sposobił się do przeprawy przez Wisłę pod Tyrzynom.

Spostrzeżono się na tem rozprzężeniu w sztabie polskim i zdecydowano się podjąć kroki zaczepne. Nie wszystkie powzięte wówczas postanowienia były trafne. Plan generała Chrzanowskiego wyparcia gwardyi na Litwę i przeniesienia tam teatru wojny, odrzucono i zgodzono się natomiast na wyprawienie Dwernickiego z garścią 6,000 ludzi na Wołyń.

Po potyczce pod Kurowem i zajęciu Lublina, Dwernicki dnia 11 kwietnia przeszedł Bug, złamał w tydzień potem pod Boremlem, zastępującego mu drogę

Rüdigera, ale otoczony wkrótce przez przemagające siły rosyjskie, cofnął się ku granicy austryjackiej i rozbrojony został w Galicyi.

Pomyślniej nieco napozór wypadła wyprawa głównemi siłami na obserwacyjne korpusy Geismara i Rozena, podjęta według planu Prądzyńskiego. Dla odwrócenia uwagi Rosyan, Skrzynecki wyprawił Umińskiego za Modlin, jakoby przeciw gwardyom, przy sobie zaś zgromadził 30,000 piechoty, 6,000 jazdy, dział 116, okrył słomą most warszawski i w cichości o 3-ej w nocy, z 30 na 31 marca, przeprawił dywizję Rybińskiego rogatkami Ząbkowskimi na tyły Geismara, rozłożonego po polach grochowskich; sam ze starą dywizją Gielguda i nową Kamińskiego, oraz z rezerwową jazdą Skarżyńskiego, staje u rogatek grochowskich.

Oskoczony z kilku stron naraz Geismar pierzcha, ostrzeżony jednak jego klęską Rozen, zbiera swój korpus na wyniosłościach pod Dębem Wielkim i unika zagłady zupełnej.

Dalszemu postępowi Skrzyneckiego stają na zawadzie najprzód święta Wielkanocne (4 kwietnia), następnie ta okoliczność, że plan Prądzyńskiego—nie prowadził nigdzie.

Oreżny popis pod Iganiami (10 kwietnia) przy Siedlcach, otwierał wprawdzie drogę do Drohiczyna, Bielska i Brześcia (który wówczas nie był jeszcze twierdzą), ale w pochodzie tam gwardye zaskoczyłyby mogły Polaków z flanki lewej (od północy), Dybicz zaś, którego przygotowaniem do przeprawy przez górną Wisłę, Chrzanowski ze Skarzyńskim przyglądali się z pod Żelechowa i Garwolina, porzucił Tyrzyn i był już w Łukowie.

Skrzynecki losów kampanii nie chciał stawiać na jedną kartę, bał się przytem zaczepiać Dybicza z powodu grasującej w jego obozach cholery—i wrócił do Warszawy.

Obie wojujące strony były teraz w równym kłopotcie, co robić dalej. Skrzynecki liczył na opiekę Opatrzności i interwencję Europy, zaś o Dybiczu książę Szczerbatow najkategoryczniej utrzymuje, że stracił głowę do reszty i w listach do Cesarza Mikołaja jął teraz w czwórnasób mnożyć liczbę wojsk polskich. Cesarz o ile mógł, łagodził i powstrzymywał wybuchy tego pesymizmu, podejrzanego o tyle, że go poprzedzał różnie przesadzony optymizm.

— „Niech się dzieje wola Boża! — odpowiadał

na raport o zniweczeniu korpusu Rozena. Ale pozwól pan wyrazić zdziwienie i żal, że w tej nieszczęśliwej wojnie donosisz mi częściej o klęskach, niż o zwycięstwach, że w 180,000 ludzi nie możemy nic zrobić 80,000-iu tysiącom, że nieprzyjaciel wszędzie jest liczniejszy, a przynajmniej równy liczebnie, a my prawie wszędzie słabsi stajemy wobec niego“.

Innym znów razem, na widok nieczynności Dybicza w Siedlcach, po wyrzeczeniu się przeprawy przez górną Wisłę, Monarcha wręcz oskarża feldmarszałka o nieudolność.

— „Wszystko to jest niewytłómaczone—powiada—i bardzo źle rokuje nam i armii, którą pański brak decyzji, marsze, kontramarsze nużą, wyczerpują i męczą; straci ona ufność do swego wodza, gdyż nie widzi żadnych rezultatów swych wysiłen, prócz nędzy i śmierci“.

Żeby jednak nie rzucać wodza Zabalkańskiego na pastwę ostatecznego zwątpienia i rozpacz, po naradzie z hr. Paskiewiczem-Erywańskim, umyślnie w tym celu wezwanym do Petersburga, zaproponował Dybiczowi przeprawę na lewy brzeg Wisły, nie u górnego, lecz u dolnego jej biegu. Dybicz, otrzymawszy tak jasno sformułowaną wskazówkę, ożywił się niezmiernie,— za

wiele wszelakoż. Wydało mu się, że przejście przez Wisłę w obrębie Królestwa Polskiego objętego pożarem, naraża armię na zgubę niechybną. Budować mosty i przeprować się po nich na tak szerokiej rzece pod ogniem nieprzyjaciela — robić to mógł Napoleon, ale i on wtedy tylko, gdy obrane miejsce przeprawy mogło być zamaskowane fałszywymi demonstracyami na rozległej przestrzeni; w danym zaś wypadku nie mogło być mowy o rozległości na tak małym wycinku wiślanym, jak od Modlina do granicy pruskiej. — Zresztą po co tu nowe mosty? — rozumował sobie Dybicz. — Jest przecież jeden most stały, wyśmienity, osłonięty działami twierdzy toruńskiej; przekroczyć tylko trzeba granicę pruską i kęsek ziemi nie należący do Rosyi I oto żądanie w tym sensie, cokolwiek być może za twardo zredagowane w sztabie Dybicza, wysłano natychmiast do Berlina, na ręce ambasadora rosyjskiego.

Rząd pruski i w ogólności Prusacy nie żywili względem powstania polskiego życzliwości większej nad wytkniętą przez wielowiekową politykę krzyżacką. Nie trzeba więc upatrywać szczególniejszej jakiejś niechęci do Rosyi w gwałtownem oburzeniu, z jakim nad Szprewą spotkano żądanie Dybicza. Pruski

minister spraw zagranicznych ks. Wittgenstein, wyraził rządowi rosyjskiemu niezmiernie zdziwienie z powodu tak niesłychanej propozycji, zaś król pruski kazał zaraz odpowiedzieć pełnomocnikowi rosyjskiemu, że w danym razie zmuszony będzie zgromadzić 400,000 bagnatów w Księstwie Poznańskim, dla zapobieżenia następstwom wkroczenia armii rosyjskiej na terytoryum państwa pruskiego. W sprawę tę wdała się z uprzejmościami dyplomacya, odwołano się do stosunku pokrewieństwa między dwoma domami panującymi, rosyjskim i pruskim, i rozdrażnienie uśmierzono. Niebawem Prusacy zgodzili się na naruszenie neutralności i przejście Wisły przez armię rosyjską w obrębie ich państwa.

ROZDZIAŁ V.

W ogniu.

Po bitwie pod Grochowem — pisze Goczałkowski — po skończeniu zawieszenia broni, podczas którego staliśmy po wsiach za Warszawą, pułk nasz przeszedł pod rozkazy generała Umińskiego. Był to dzielny generał jazdy, osobiście mężny, ale nie zawsze roztropny.

Z jego więc korpusem staliśmy wzdłuż Liwca, broniąc przeprawy nieprzyjacielowi przez rzekę. Było to jakoś w ostatnich dniach marca. Pułk nasz od rana był w asekuracyi dział. Piechota nasza strzelała się już od kilku godzin na moście, wstrzymując gwał-

tem cisnące się nań kolumny rosyjskie, których baterie z przeciwnego brzegu raziły nas mocno.

Niemasz przykrzejszej służby, zwłaszcza dla młodego żołnierza, jak asekuracja dział. Kto się chępli, że w pierwszym takim ogniu nie zadrżał, ten jest pusty fanfaron i kłamca. Inna rzecz pierwsza szarża kawaleryi, lub atak na bagnety, to wprawia w pewien szal, odurzenie, aż do zapomnienia się, zatem zapala odwagę młodego żołnierza.

Ale w asekuracyi, to nieczynne w miejscu oczekiwanie śmierci, lub kalectwa, ten czas wolnego rozmyślu nad skutkami, ten widok błysku na nieprzyjacielskiem dziale, u którego za każdym strzałem, dymiącą paszczę wprost naszych piersi spostrzegamy, i te dzikie podskoki rykoteszującej kuli, której przybycia ze stoicyzmem jednak oczekiwać w miejscu potrzeba, lub pęknięcia granatu, co przed twym koniem padł, i burcząc, wierci młynka, a kroku jednak przed nim cofnąć się nie wolno: jest nad wszelki wyraz niesmacznem i ckliwem!...

— Ha! nie będzie powiedziano, — pomyślałem sobie, — że się boję; otóż i ja dla lepszej fantazyi, zapalę sobie fajkę, i niech się dzieje co chce!

A tymczasem z prawej i z lewej strony, co chwila ktoś jęknął i potoczył się na ziemię.

Nie miałem czem skrzesać ognia, więc stojąc na prawem skrzydle czwartego szwadronu, podjechałem na lewo szwadronu trzeciego, bom dojrzał Augusta Przyłuskiego, młodego i dzielnego, co się zowie, całą gębą ułana, z najobojętniejszą miną fajkę palącego.

— Wiesz co, Augustcie,— rzekłem do niego, nadstawiając mu z konia moją fajkę, do której ognia skrzesiał,— podobno my się dziś nie obliczymy?

— A niech tam dyabli wezmą! Wszystko mi jedno! — odrzekł na to obojętnie

I gdy zarzący czop do mej fajki wkłada, naraz słyszę jakiś tuż koło mnie szum gwałtowny, a potem głuche kłapięcie, i zaraz potem koń Przyłuskiego wybiegł z szeregu, a on, biedak, przeszyty na wskrós sześćcio-funtówką, zboczony, tarzał się w piasku.

Kula uderzyła i zgruchotawszy olstrę z pistoletem, przeszła przez niego, a potem na tyle konia mantelzak leżący w szmaty rozerwała, potem ugodziła w pierś konia pod karabinierem, w drugim szeregu stojącym, przeszła przez całą jego długość i daleko jeszcze po za kolumną naszą zaryła się w grunt.

Odjechałem na miejsce w milczeniu, straciwszy zupełnie i smak i ochotę do fajki.

Tego samego dnia po południu, generał Umiński naszemu pierwszemu pułkowi kazał poniżej Liwca przeprowadzić się, i w tyle obozu nieprzyjacielskiego niespodzianą zrobić demonstrację.

Przeszliśmy w bród rzekę, a idąc piaszczystą równiną, ujrzeliśmy na wyniosłości pagórka samotną widetę ułana.

Ten, w zaufaniu, że jesteśmy rosyjskiego korpusu oddziałem, dotrzymał placu; wtem zanałto już późno chciał umknąć, ale go nasi dopędzili i bez wystrachu wzięli.

Naraz ujrzeliśmy naprzeciw nas rozwijające się z lasu kolumny jazdy rosyjskiej.

Piękny to zaiste, i wspaniały widok posuwających się zwolna, jak dwie ołowiane chmury naprzeciw siebie do walki, kilku ściśniętych szwadronów jazdy. Tę uroczystą jakąś ciszę przerywa tylko kiedy niekiedy furkanie niecierpliwych koni, pojedyncze odzywanie się trąbki, lub głucho szczęknięcie o strzemię pałasza. Koń uchem strzyże, a żołnierz z rozkołysaną od wzbud-

rzonych uczuć piersią, oba z uwagą słuchają trąbki, która jedyną tu teraz tylko jest komenda.

Obok dowódcy jadący trębacz zadzwonił dwa krótkie odboje: wszystko stanęło.

Teraz moglibyśmy ich już rozeznąć. Było pięć szwadronów ułanów i nieco strzelców konnych.

W tej krótkiej już przed starciem chwili, dowódcy przebiegli jeszcze kilka razy szeregi, zalecając żołnierzom odwagę i zimną krew.

Kazano poprawić jeszcze kulbak, popodpinać mocniej czapki, skrócić cugle i stać.

Potem posunęliśmy się klusem...

Trąbki uderzyły na flankiery.

Z obu stron plutony flankierskie rozsypane, jak wachlarze się rozwinęły i harcując, strzelały do siebie.

My tymczasem oczekiwaliśmy w miejscu niecierpliwie ostatniego już znaku do ataku.

Na raz flankiery zwołano, nasz dowódca krzyknął:

— Do ataku broń!

Z przeciwnej strony ujrzelśmy, jak migiem błysły z pochew szaserskie pałasze, a ułańskie lance schy-

lily się w pół ucha końskiego; i ledwo tylko w początku sygnału atakowego dosłyszeliśmy, który potem cała pułkowa muzyka zagrzmiała, z pod koni rwany grunt bryznął już w górę i z straszliwym okrzykiem: hura! wpadliśmy na siebie.

Najprzód strzały karabinów szaserskich powitały nas, ale prócz jednego z naszych, który dostał kulą w same usta, żaden nie spadł z konia.

Potem zmieszaliśmy się tak, że w tym serdecznym uścisku, ani cięcia nawet dać było sobie niepodobna, ale to trwało tylko chwilę, bo wnet przeparty nieprzyjaciel tył podał.

Tu dopiero zaczął się prawdziwy taniec.

Gdy tuman kurzu, wzniesiony kopytami końskimi, opadł cokolwiek, ujrzelśmy kilkunastu z przeciwnej strony rozciągniętych na piasku, strąconych w starciu się lancami.

Potem zaczęły się pojedyncze gonitwy i harce.

Tu jeden, z obskoczonych od dwóch lub trzech przeciwników, broni się uparcie, a jeżeli pomoc mu nie nadbiegła. uległ, lub rozbrojon, dostaje się w niewolę.

Tam ucieka jeden, ścigany od kilku, staje, pali z pistoletu, kładzie trupem jednego, znowu pomyka, a tymczasem nabija broń, znów staje, strzela i zmusza do ucieczki napastników.

I znów skupiają się pojedynczo rozrzucone oddziały, uderzają na siebie, i znów w rozsypce częściowe utarczki, gonitwy, dopóki wreszcie jedna strona nie zniknie całkiem z placu.

Zabranych jeńców 120 i tyleż koni dzielnych było owocem tej krótkiej wyprawy. Z naszej strony poległ jeden żołnierz i kilkunastu mieliśmy rannych.

Nasz obóz, stojąc na wyniosłym miejscu pod miasteczkiem Liwem, patrzył na całą tę utarczkę, a gdyśmy już w wieczór z łupem i niewolnikiem wracali, zaszedł nam drogę z całym sztabem i muzyką Umińskiego i trzykrotnem okrzykiem:

— Wiwat, ułani!—powitał.

To atoli zwycięstwo wiele nas później kosztowało. Rosyjski ten korpus był zacholerzony. Wiara nasza przez ciąg kilkomiesięcznej kampanii, biwakując ciągle, obdarła się całkiem. W mantelzakach zabranych koni znalazła się bielizna ładna, kolorowa, i obuwie nowe, w które nasi zaraz się postroili i... zarazili.

We dwa dni potem, w obozie naszym straszna wybuchła cholera. Łupem jej stał się nasz dzielny podpułkownik Konopka, waleczny kapitan Dąbrowa, i wielu oficerów, wojsko zaś, szczególnie piechotę, tak zmiała nagle, że wśród śpiewów, śmiechu i żartów, nagle człowiek padał, czerniał i w okropnych kurczach, w kilka godzin kończył życie bez ratunku.

Liw cały, wszystkie ambulanse i szpitale polowe zapelnily się konającymi, trwoga ogarnęła najtwardsze umysły, takich nawet, co wobec latającej na polu bitwy dokoła śmierci nie zadrżeli.

Święta Wielkanocne spędziliśmy pod miasteczkiem Różanna, w obserwacji Ostrołęki, zajętej przez Rosyan. Ale gdy w Wielki tydzień, stojąc przez dwa dni po wsiach, użyliśmy na strawie cokolwiek lepszej, bo gotowanej, za to w Wielką Niedzielę, pamiętam, musiałem zjeść jedynie kawałek suchara.

Wybór sił rosyjskich, owe sławne petersburgskie gwardye, przepędziliśmy za Narew, a w spotkaniu każdym rozbijaliśmy je, mimo owej okrzyczanej sławy i gdzieindziej dowodnego męstwa, i mimo, że chłop w chłopa, i koń w konia, były to olbrzymy same.

A przecież nie mówię już o naszych starych ułanach, ale młode Krakusy, na malutkich swoich bronowłokach, bili, zabierali powiązanych z każdego niemal patrolu, lub nocnej wycieczki, przyprowadzali do obozu, jak mówi Krakowiak, „mędlami“ tych wielkoludów, nie mogących się opamiętać ze zgrozy i podziwienia, co się z nimi dzieje? Przekonani jednak najświęciej byli, że nasze małe Krakusy, albo mają z dyablami sprawę, albo też, że sami dyabły, więc też i bronić im się było niepodobieństwem.

Raz atoli dali i oni nam tęgiego łupnia.

Gwardyje, przeszedłszy Narew, cofały się przed nami wciąż. My za nimi śmiało gdy napieramy, urywając po staremu, gdzie się tylko dało, gdyśmy wychodzili jakoś pod wieczór z lasu, roztacza się przed nami dolina, którą zamykała wioska, Długosiodło zwana, tuż zaś po za nią zataczał się znowu bór czarny. Skoro więc tylko nasze kolumny ukazały się z lasu, i zanim się jeszcze w szyk bojowy rozwinąć zdołaliśmy, już działa za Długosiołem na pozycyi ustawione, witać nas poczęły, po przed wsią zaś rozsypali się w tyraliery strzelcy infantcy.

Nasz naczelny wódz, z plutonem Krakusów bia-

łych, podsunął się dla zrekonoskowania nieprzyjaciela, prawie na strzał infantckich sztuców, od których kilku nawet około niego rannych zostało Krakusów, a przekonawszy się, że to jest aryergarda, odwrót gwardyi zaslaniająca, rozkazał jednemu szwadronowi naszego pułku pójść naprzód, spędzić Inflantczyków i do wsi dotrzeć.

Szwadronu tego komendantem był dzielny kapitan Hempel, nie wiele więc namyślając się, gromkim głosem zawołał:

— Chłopcy, cugle skrócić! do ataku broń!... a ostro mi się trzymajcie!...

Potem zakomenderował:

— Plutonami od prawego, galopem, marsz!

I pognął naprzód.

Niebawem cała kolumna rozwija się w największym pędzie na prawo i lewo, i spędza tyraljerów, lecz ci cofnęli się poza płoty, któremi ciasnem przejściem prowadziła droga do wsi.

Ale Hempel ani chwili się nie waha, nie zwalniając biegu, formuje szóstki i rzuca się w oplotki. Tu strzelby z obu stron—z opartych na płotach sztuców, strasznym ich powitały ogniem!

Zaraz na wstępie klacz Hempla, przesyta kilkoma kulami, pada, a gdy do tego i kilku ulanów wraz z końmi zaległo wążki przesmyk, więc długą szwadronową kolumnę wprowadziło to w nieład, że straciwszy kilku ludzi, zaledwie wycofać się potrafili, i napowrót z rzadkimi powrócili minami, niemniej jednak cały szwadron, a szczególnie kapitan Hempel, w tej acz niepomyślnej wyprawie, dał dowód nadzwyczaj zimnej krwi i odwagi bohaterskiej prawie.

Ale i strzelcy niebawem się cofnęli, bo piechota nasza poszła z bagnetem w rękę, wyparła ich z tego stanowiska, a nawet i ze wsi, i za ustępującymi posuwała się naprzód. Nasz pułk cofnął się, a noc przepędziliśmy przy ogniskach w lesie, słuchając do rana prawie strzałów ręcznej broni, gdzieś het! po za Długosiodłem.

Była to ostatnia nasza w Kongresówce rozprawa.

ROZDZIAŁ VI.

Na Litwie.

Naczelnny wódz, korzystając z rozerwania sił rosyjskich, i chcąc raz już przenieść wojnę regularną do Litwy, podać rękę powstaniu tamecznemu, co zwłaszcza w gubernii wileńskiej i na Zmudzi, od kilku już miesięcy skonfederowane, z rozmaitem szczęściem rozpaczliwie walczyło o własnych siłach i posiłków z Korony z utęsknieniem wyglądało: poruczył generałowi Chłapowskiemu, aby z pomiędzy starych pułków jazdy i piechoty, wybrał sobie i urządził stosowny oddział partyzancki, z którym, unikając walnych bitew, chciał przerznąć się cichaczem do Litwy, i wśród pochodu —

rozrzuconych po kraju powstańców zbierać i w pułki formować, z garnizonu nieprzyjaciela rugować, komory i magazyny zabierać lub niszczyć, a wreszcie, jeżeli się da, stolicę Litwy, Wilno, zająć.

Na tę niebezpieczną i pełną trudów wyprawę wybrał generał Chłapowski nasz pierwszy pułk ułanów, jedną kompanię z pierwszego pułku strzelców pieszych, dwa lekkokonne działa pod wodzą porucznika ks. Janusza Czetwertyńskiego, oraz z każdego niemal pułku piechoty po jednym żołnierzu i podoficerze, których wsadzono na konie dla pędzszego marszu.

Dowodził nami podpułkownik Borkowski.

Jakoś więc około 8-go maja, właśnie na parę dni przed krwawą Ostrołęką bitwą, od której rozpoczęły się niepowodzenia wojsk naszych, cichaczem ruszyliśmy w pochód. Granicę przeszliśmy bez żadnej przeszkody; witał nas lud tamtejszy oznakami radości.

Po drodze mnóstwo do nas łączyło się młodzieży z bronią, jaką kto miał, pieszo i konno: i w ten sposób najspokojniej podstąpiliśmy aż pod miasto powiatowe Bilsk.

Dochodząc tam, dano nam znać, że garnizon złożony z 200 blisko Rosyan, do różnych pułków piecho-

ty należących, ma ochotę bronić wstępu. Jakoż przed samą roгатką ujrzełszy mały ten oddział stojący na trakcie, w kolumnę uszykowany.

Bez najmniejszej zmiany w pochodzie, bez wzięcia ani za broń, ani do ataku, niby nic przed sobą nie widząc, śpiewając, fajki paląc, i wesoło gwarząc, szliśmy sobie naprzód; szpica nasza była już na kilkanaście tylko kroków od nich, a dowódca ich, kapitan, wahał się widocznie jeszcze, co ma z sobą zrobić.

Naraz, muzyka nasza zagrała mazurek „Dąbrowskiego“, adjutant pułkowy poskoczył naprzód i krzyknął:

— Na prawo i lewo razstupisia!

Oni odurzeni, jakby elektryczną siłą pchnięci, rozstąpili się na dwie strony, a my tym szpalerem spokojniuteńko przeszliśmy, weszliśmy do miasta. Aryergarda nasza odebrała im broń i zabrała z sobą. Komora cała, a w niej mnóstwo płócien, sukna, obuwia, nieco broni i patronów — zasililo niemało nasz korpusik. Jeńców zabraliśmy z sobą. Z tych kilkunastu wstąpiło w nasze szeregi.

Uszczęśliwieni obywatele Bilaska, stojący wśród rynku, do północy blisko raczyli nas hojnie, czem tylko mogli.

O milę ztamtąd zatrzymaliśmy się obozem na noc, w ciągu której patrol nasz pochwycił powóz pułkownika huzarów rosyjskich, który w bliskości stojąc z pułkiem, dowiedziawszy się o nas, i o tem, co zaszło w Bilsku, nie czekając dłużej, cofnął się z pułkiem, powóz zaś jego, opóźniwszy się nieco, dostał się w nasze ręce.

Przybywszy blisko powiatowego miasteczka Lidy, niegdyś osobnej dzielnicy ksiąząt litewskich, gdy sobie przy odgłosie śpiewaków i muzyki wesoło maszerujemy, naraz przypada do generała jakiś na koniku wieśniak, donosząc, że tuż za lasem, we wsi kozaki. Dowiedziawszy się o nas, chcą spalić most na rzece, że popodkładali mnóstwo słomy, beczek smolnych i t. p. materiałów, ale że wieśniacy tameczni bronią im tego dotąd, lecz że pewno nie dadzą rady, bo w Lidzie ma ich być znaczna siła.

Po takiej wiadomości generał odkomenderował natychmiast dwa działa naprzód, nam kazano zsiąść z koni, poprawić tylko kulbak, zaraz znowu „na koń“ i cwałem przez las pognaliśmy ku wskazanemu miejscu. Ale kozaków nie zastaliśmy już, tylko, jak wieśniak doniósł, most przygotowany do spalenia; że zaś noc nad-

chodzila, umaszerowawszy parę wiorst, zeszlismy dobrze z traktu w bok, i w największej czujności bez ognia poczelismy obozowac.

Równo ze dniem odkomenderowany zostal drugi szwadron naszego pulku z trzema działami na Lide, rosza korpusu pozostala w miejscu.

Przebieglismy opróżnione juz miasto klusem; ale tuż za miastem ujrzelismy dluga kolumnę piechoty, cofajacej się traktem, która zaslanialy postepujace w tyle dwa działa.

Jeden nasz pluton rozsypal się zaraz na flankierzy, do którego dano parę razy ognia z dział, ale bez skutku. Skoro wpadlismy na trakt, jenerał tak nas rozkomenderowal: z plutonem, który prowadzil porucznik Koszucki, sam uderzyć mial na działa, flankierski pozostal w odwodzie, zaś dwa plutony, jeden prowadzony przezemnie w zastępstwie komendanta, a drugi przez porucznika Puzynę, odebraly rozkaz rzucić się w bok z traktu przez fosę na pole, i z czoła zabiedz drogę ustepujacej piechocie, której bylo dwie kompanie, to jest 300 ludzi. Nas bylo przeszło 70 koni!

Każdy więc, kto to rozumie, pojmie, że bylo to dla nas, acz bardzo zaszczytne, ale z drugiej strony

niesmaczne zadanie! Bo zadzierać jeździe z piechotą, to nie przelewki — z piechotą, co mogła się w każdej chwili, jeżeli nie w czworobok, to w kupki sformować i zgruchotać nas na miazgę!

To też, gdyśmy się rzucali z traktu w bok i w największym pędzie zabiegać im zaczęliśmy, gdyśmy ujrzeni to 300 luf karabinowych na cel wziętych, kierujących się za nami, jak za kaczkami, to przyznam się, że jakoś czapki niewiadomo dlaczego popodnosiły się na głowach, mróz przeszedł każdemu od stóp do głów, i mimo woli, nie jedne usta zaszeptały cichą, krótką, ale serdeczną modlitwę.

O! bo ktoby utrzymywać śmiał, że tam nie zadrzał, ten albo łgarz, albo oszust!

Idziemy tedy, a raczej pędzimy tak, że tchu w pierśiach ustawało, a szliśmy plutonami.

Wtem, gdy już znaleźliśmy się w prostej linii, czyli naprzeciw piechoty rosyjskiej, odlegli może na jakie kroków 50, naraz sypnął się na nas grad kul taki, że zdało się, jakby nas roje pszczoł opadły: taki to przeraźliwy był świst, taki brzęk złowrogi w uszach nam zagrał!

Więc obejrzą się po za siebie, ażali tam siedzi co wiary jeszcze na koniach. Alć koń w konia, i ułan w ułana, trzymają się co do jednego krzepko, a sadzą w ścisłym porządku.

— Ha! wola Boża! — pomyślałem sobie,— dotąd idzie to jakoś, ale to niedługo podobno tak będzie, bo kule po staremu jak gwiżdżą, tak gwiżdżą. Ale że to człek kulą strzela, a Bóg ją niesie, jak mówili starzy, więc też i tu Pan Bóg je łaskawie gdzieś tam het! światami poniósł, a prócz tych, co nasze czapki, płaszczcze i mantelzaki podziurawiły, jakimś osobliwym cudem ani nas, ani koni nie czepiła się żadna.

Dopieroż to, gdyśmy wpadli na czoło Rosyan, pomimo, że teraz rzucili broń, ale że to nasza wiara rozdrażniona była tą gorącą łaźnią, z jakiej wyszła, więc kiedy pocznie klucz, rąbać ryczałtowo, co się pod rękę nawinęło, to zgroza nawet pomyśleć o tem dzisiaj!

Może być, że więcejby tam było piechurów ocalało, gdyby nie to, że gdyśmy wpadli nich, to zrazu porzucili broń, a więc nasze ułany jakoś bezbronnych klucz nie mieli serca. Ale naraz, gdy kilka strzałów padło z tyłu na nowo—i za tymi, cośmy im dopiero co życie darowali: wówczas, jak się nasi poprawili, jak wzięli

na nowo lance, tak też mało co już przy życiu zostawili...

Z naszej strony nikt nie zginął, tylko żołnierz jeden z mego plutonu od kuli działowej, ale podpalonej ręką naszych. a to takim sposobem: Gdy generał Chłapowski z plutonem ułanów wpadł na działa rosyjskie w tyle idące, zabrał je odrazu, i natychmiast odwróciwszy do nieprzyjaciela, kazał dać ognia; w tej właśnie chwili i my już wpadliśmy na czoło, a kula naszego ułana ugodziła.

Nazajutrz z rana, w dalszy udaliśmy się marsz i szliśmy tak dni kilka bez ważnego wypadku; aż dochodząc do miasteczka, nie pomnę nazwy, ale już w prawdziwej Litwie, spotkał nas znaczny oddział, porządnie zorganizowany, powstańców, pod wodzą podpułkownika Matuszewicza.

Miał on z sobą parę szwadronów jazdy, z samej prawie szlachty. Byli oni nie źle ubrani i uzbrojeni, i na dobrych siedzieli koniach. Miał nieco także piechoty, między którą najwięcej było celnych strzelców. Sam okazałej podstawy, na dzielnym żmudzkiem koniu, w burkę odziany, prawdziwie imponująco wyglądał.

Wkrótce atoli odłączył się od nas, udając się pod Troki.

W kilka dni potem zatrzymaliśmy się w majątności marszałka Kozakowskiego, gdzie nadciągnęły nowe oddziały litewskie.

Nad wszystkimi główną miał komendę sędziwy książę Ogiński, z którym przybyli także książę Giedroic, dwóch hrabiów Platerów i panna Emilia Plater, jako ochotnik amazonka, na koniu i uzbrojona; adjuwantowała zaś przy niej panna Raszanowicz.

Cały korpusik ten, dobrze uzbrojony, a nawet i wyrobiony już nieco, wszedł w porządku z rozwiniętymi sztandarami na dziedziniec pałacowy, gdzie generał Chłapowski na czele sztabu swego już go czekał.

Po przedefilowaniu sformowali się, a nasz Wincenty Pol, podówczas profesor w uniwersytecie wileńskim, dzierżąc białą chorągiew w ręku, na której jaśniał napis: „Łączmy się, bracia!“ treściwą przemową, która wszystkich do łez prawie rozczuliła, przywitał imieniem Litwy braci z Korony, przyczem oddawał się wraz ze swoimi pod rozkazy generała, prosząc go, aby przewodniczył i poprowadził tam, gdzie tylko dobro wspólnej ojczyzny powoła.

Jenerał odpowiedział, dziękując im za ufność w jego osobie położoną, przyczem zachęcał do stałości, zgody i wytrwałości, nie tając trudów i niebezpieczeństw, jakich spodziewać się należało, lecz ufając, że przy stałości i męstwie wszystko się przezwycięży.

Wszyscy okrzyk jego powtórzyli z zapalem, nowo zaś przybyli przy odgłosie muzyki zanucili hymn do Boga, i na tem się skończył ten uroczysty, pełen najświetniejszych nadziei obrzęd.

Jakoś na drugi dzień po tem połączeniu się powstańców litewskich z nami, doszła nas wiadomość, że jenerał Gielgud z 18-to-tysięcznym blisko korpusem, i dwudziestoma działami, odcięty w augustowskiem od głównej armii, przerznął się także na Litwę i ku Wilnu pośpiesznymi marszami zdązał.

Wieść ta wielce podniosła ducha tak w naszym starym żołnierzu, jako też i w skonfederowanej Litwie; po obliczeniu zaś sił, obecnie na Litwie i Żmudzi rozrzuconych, pod wodzą jenerała Chłapowskiego, Szymanowskiego, Rolanda, Dembińskiego i Gielguda, oraz podpułkownika Matuszewicza, okazała się dość już poważna liczba, bo dochodząca do trzydziestu kilku przeszło tysięcy,—a mimo, że po-

łowa może tego składała się z żołnierza młodego, niedoświadczonego i nie najlepiej uzbrojonego, wszelako co im nie dostawało z tej strony, to na zapal, poświęcenie i przykład starego wojska, zresztą i na patryotyzm mieszkańców licząc, byliśmy aż nadto pewni, że z podobnemi siłami śmiało już spotykać się będziemy mogli z nieprzyjacielem, chociażby co do liczby i o wiele od nas poważniejszym.

Nie tracąc zatem czasu, zwinęliśmy obóz i pociągnęli ku Wilnu.

Po kilku dniach marszu, posunęliśmy się bez przeszkody na odległość półtóry mili od Wilna, ale z przerażeniem i smutkiem niemałym, nie tylko nigdzie korpusu generała Giełguda nie spotkaliśmy, lecz nadto po stratowanych zbożach i dokoła poniszczonej okolicy, domyśliliśmy się z łatwością, że tędy świeżo Rosyanie przeszli.

I w samej rzeczy Sakin z kilkunastotysięcznym korpusem, korzystając z czasu, kiedy generał Giełgud na wyprawianiu swych imienin, w rodzinnem swem gnieździe Giełgudyskach, czas dla próżnej chępliwości trwonil marnie, ubiegł tymczasem Wilno, dotąd szczu-
pły tylko garnizon mające, a którego mieszkańcy z utę-

sknieniem wyglądali ukazania się tylko jakiegobądź oddziału regularnego polskiego żołnierza, aby mu bramy miasta otworzyć.

Staliśmy obozem pod wsią Malowanką, tak blisko nieprzyjaciela, żeśmy każdego ranka i wieczora, po rosie, dobrze słyszeli bębny i świstania fajfrów rosyjskich w Wilnie.

Dlaczego Sakin którejbądź nocy nie uderzył na nas i nie rozgromił zupełnie, co byłoby mu z łatwością przyszło, tego nikt z nas ani nie pojmował wówczas, choć co dnia byliśmy na to przygotowani, ani ja dotąd pojąć nie mogę. A że nas w spokoju zostawił, więc tymczasem ćwiczyliśmy po całych dniach młodego żołnierza, sposobiąc go do blizkiego boju.

Przywłókl się wreszcie Giełgud, lecz z rozerwaniem już siłami, bo Dembiński poszedł zająć stanowisko od przeciwnej strony Wilna, Szymanowski pociągnął ku Żmudzi, Matusiewicz został pod Trokami, więc tylko sam z brygadą generała Rolanda, z siłami znacznie zmniejszonymi i przez pośpieszny od Giełgudysek marsz strudzonymi ludźmi i koniami—na nasze niebezpieczeństwo połączył się z nami.

A po kilku jeszcze dniach wypoczynku, oznaczono wreszcie fatalny dzień szturm na Wilno.

Oprócz tego, że jak wspomniałem, samą koniecznością, wynikającą z obliczenia niby strategicznego, — rozerwane siły nasze o wiele nas osłabiły, ale nadto Giełgud, objawszy zaraz naczelne dowództwo nad wszystkimi tu połączonemi oddziałami, usunął od udziału w mającej nastąpić bitwie, wszystkie prawie nowozaciężne i poinformowane przez nas pułki, dając za przyczynę, że to są ludzie nienawykli jeszcze do boju i nie dość wyrobieni, więc ze starym tylko żołnierzem jego, i Chłapowskiego korpusikiem — postanowił wziąć Wilno.

Cały niemal front Wilna, położonego zupełnie niby w kotle, maskuje z tej strony pasmo amfiteatralnie nieco piętrzących się, lecz mimo to niezmiernie miejscami stromych i krzakami obrosłych gór, Ponary zwanych, które środkiem jedynym, dość wązki przecina gościniec.

Nieprzyjaciel, poniżej szczytów samych, ustawił na pozycyi 40 dział, sam zaś szczyt, i poniżej znowu dział, obsadził liczną piechotą.

Co do nas, rozwinęliśmy się na płaszczyźnie, i bez rozsądnego obliczenia skutków doniosłości, bez opatrzenia naprzód dogodnego miejsca, niby to na pozycyi także—postawiliśmy 18 dział.

Nasz pułk stanął eszelonami w asekuracyi dział. Piechota poszła naprzód ua linie boju; było to 19 czerwca 1831 r. o godzinie 5-ej z rana.

Zaczęła się bitwa od ognia tyraljerskiego, ale niebawem z obu stron rykły i działa.

Po półgodzinnym ogniu, nieprzyjaciel począł ze stanowiska ustępować i cofać się wyżej.

Widząc to, nasi wydali okrzyk radości, cała nasza pierwsza linia posunęła się naprzód. Ale był to złudny z ich strony tylko manewr, na którym Giełgud się nie poznał.

Zamiarem bowiem nieprzyjaciela było zwabić piechotę naszą na góry, działa nasze tym sposobem zmusić do nieczynności — rozciągnąć naszą linię operacyjną do tyła, aby pułki wzajemnie wspierać się niemożące rozdzielić, obrócić, i pojedynczo pobić. I w samej rzeczy, zamiar ten w większej części udał się Sakinowi doskonale.

Strzelcy nasi z bagnetem w rękę, z okrzykiem hurra!! śmiało rzucili się naprzód, a że zaraz od podnóża Ponary stromą poczynają się ścianą, więc chwytając się za krzaki jedną, a drugą dzierżąc karabin, drapiają się jak koty w górę!

Rosyane spokojnie ich na platformie oczekują, aż dopiero przypuszczonych jak najbliżej pod wierchołek, kolbami uderzają całą siłą, i masami strącają w przepaści.

Tymczasem, gdy ich czterdzieści dział miotają wciąż strasznym na nas ogniem, z naszej strony trzy tylko słabo się odstrzeliwają, reszta musiała stać nieczynnie, bo tam nasi rozpaczliwie walczą na przodzie.

Nasz pułk stał już od rana samego w asekuracyi dział lekkokonnych, pod strasznym ogniem całej działobitni nieprzyjacielskiej.

Dowódca, chcąc nas niejako uchylić, zmienił pozycję, i podsunął nas pod las, u stóp Ponar rozciągający się, ale to nam nic nie pomogło.

Nieprzyjaciel bowiem ujrawszy to nasze poruszenie, rozdzielił swoje baterye, i połową na działa, a drugą połową na nas przez elewacye strzelając, za-

równy po za tą osłoną, jak i pierwej nas okropnie dziesiątkował; zatem wróciliśmy na nasze dawne stanowisko, a generał Chłapowski zasłonił teraz kolumnę naszą owym pułkiem kosynierów litewskich, aby i ich do ognia wprawić, i żeby jakoś zamaskować nim obroty naszego pułku.

Wtem, a była już może godzina druga z południa, — na przodzie bój wrzał wciąż zacięcie i bez żadnej dla obu stron szansy, upał był niesłychany, a pragnienie i głód dokuczał nieznośnie, — naraz długim wężem z pomiędzy Pónar, poczęły się traktem wysuwać kolumny jazdy rosyjskiej.

Były to trzy pułki; z tych jeden ułanów konnopolских, dwudziesty pierwszy ułańsko-tatarski i pułk lejbgwardyi kozaków regularnych.

Zamiarem ich było zabrać nasze działa.

Staliśmy, jak się rzekło, w asekuracyi, w kolumnie niezmiernie rozwlekłej.

Niebawem jazda ta całą masą uderza na nasz pierwszy szwadron, który chcąc zasłonić działa, wysunął się naprzód — i łamie go. Szwadron pierzchnął, lecz że w tej właśnie chwili nadbiegł nasz drugi, więc się zawrócił, sformował i razem uderzamy. Lecz znowu

razem złamani, cofamy się, aż poparci następnie przez trzeci szwadron, raz jeszcze się zwracamy i wpadamy rozpaczliwie w środek tej nawały, kłując i rąbiąc na wszystkie strony, co się jeno nawinęło pod rękę.

A byłóż tam co rąbać i kłuć! Bo to choć już raz w rozsypce, tak się zrobiło gęsto i ciasno, a od piasku pod tyłu kopytami wzniesionej kurzawy tak ciemno, że na trzy kroki nie rozeznał swego od wroga, więc uderzałeś wciąż, aleś nie zgadł, komu się co dostało!...

A w tej ciemności i ciasnocie takiej, żeś ręki do cięcia lub pchnięcia dobrze przed siebie wyciągnąć z orężem nie zdołał, borykaliśmy się na ślepo z jakie piętnaście minut; dopiero gdyśmy się szerzej rozsypali i kurzawa opadać nieco poczęła, przedstawił się w całej okropności oczom naszym obraz zniszczenia i zgrozy, jakie ta nierówna walka w tak krótkiej zrządziła chwili.

Pole zasiane było trupami i konającymi z obu stron; więcej atoli nierównie padło Rosyan, raz, że byli liczniejsi, a powtóre, że pułk ich dwudziesto-dru-gi tatarsko-ulański, mając takież sam prawie uniform, jak nasz pierwszy ułanów, to jest granat z amarantem,

na co się jednak w takiej ciemności i ciasności nie dawało bacności,—więc chociaż z naszej strony często gęsto chłasnęło się po swoim, to za to i oni między sobą mordowali się srodze, a że liczniejsi — więc się też i razili gęściej.

Gdzieś się jeno obejrzał, do koła rozrzucony na piasku leżał gęstym pokotem trup wojowników stron obu, lub też ciężko pasował się ze śmiercią ranny, wzywając ratunku, albo dla skrócenia męki przez litość dobicia.

Gdzieindziej koń z urwaną nogą, na trzech goni, rząc żałośnie za swoim mijającym go szeregiem i pcha się koniecznie w znaną mu lukę.

A tam żołnierz, pozbawiony swego wiernego towarzysza, pieszo ucieka tuż, tuż doganiającym go wrogiem, aż któryś z kolegów z nienacka podał mu konia; wskoczył lekko, i zniknął w kurzawie; a dokoła gonitwa wśród ciągłych strzałów, i niby huraganu głucha wrzawa, i pojedyncze uporczywe walki toczą cię wciąż zażarcie, bo tamci nas wytępić chcą co do nogi, a my każdą stopę ziemi z niesłychaną, nadludzką bronimy za ciętością, i każde życie drogo, bardzo sprzedajemy drogo!...

I ja tam przy innych o włos tylko, com głową nie nałożył, i cudem tylko jakimś, z honorem, choć nie cało wyszedłem z fatalnej przygody.

Gdy po pierwszym serdecznym uścisku puściliśmy się i wolniejszy jakoś do koła rum sobie zrobiliśmy, na rękę tylko pojedyńkiem, to się ścinając, to się kłacząc, to strzelając, jak kto umiał, mógł i miał ku temu zręczność, wtedy ja się zwracać z koniem, to w tę, to w ową stronę, dokoła opędzając się szablą, bo dokoła dopiero stąd, jużćie zowąd, nowy napastnik w oczy mi zaglądał, błysnął pod nos żelazem i poszedł dalej.

Spojrzę naraz, a tu z pod opadającego ku ziemi tumanu, sady na mnie pochylony na koniu, stary, wąsaty, o kilku na rękawie szawronach ułan, i puszcza mi wprost piersi lance; sparowałem pchnięcie z góry na dół, i grot lekko tylko zranił mi lewą rękę, trzymającą cugle, on zaś zwrócił konia na lewo w tył, i lekkim galopkiem zniknął mi z oczu, a ja kontent, zem się małym kosztem zbył napastnika, gdy chcę biedz w pomoc jednemu z naszych, co go w pobliżu mnie dwóch Rosyan obracało, tenże zaś bronil im się zaciecie, naraz zabiega mi na przelaj znowu ten sam stary drogę i krzyczy:

— Nie ujdiesz, Lach! nie ujdiesz!

W największym pędzie rzuca się na mnie i znów puszcza mi lancę w piersi.

Szcześciem, nie tracąc przytomności, znowu paruję z góry, ale tym razem lancy nie wstrzymałem w biegu, odwróciłem tylko jej kierunek, bo zamiast w piersi, utkwiała mi w brzuch, i gdyby nie siodło, na którym nieco z impetu straciła, byłby mnie stary na wskrós przebił.

Wtedy podsunąłem się z koniem pod niego, podrzuciłem odbiciem lancę w górę, i wraz na odlew tak dobrze zamalowałem napastnika po skroni i twarzy, że mu najprzód czapka, bo mu łuszczyki przeciąłem, spadła, a potem sam zachwiał się i ruwał na ziemię z konia.

W tej samej chwili uczułem jakieś silne, niby kijem, uderzenie przez łydkę prawą. Mniemałem z razu, że mnie ktoś drążkiem od lancy ugodził, ale wnet jakieś uczucie niemiłego ciepła w obuwiu, z początku zwróciło tylko moją uwagę, później jednak mdlić mnie poczęło; spojrzę po sobie: krew, cały czaprak z przodu czerwony; spojrzę po nodze, przez rajtuzy bryzga tak-

że krew i obok jednego, drugi szeroki lampas sobie rysuje.

— Żle! — pomyślałem sobie, — w piersiach coraz mi cieśniej i przed oczami niby jakieś iskry, niby jakieś płaty czarne majaczą, więc aby nie zlecieć nagle z konia, ująłem się grzywy mego bieguna i zawróciłem w tył, gdzie zastał ambulans już napelnione rannymi, a prócz tych na ziemi porozciąganych, doktorowie i felczerzy opatrywali innych wielu, lub ryczałtowo nogi i ręce obcinali.

Na ten dopiero widok osłabłem tak, że mnie z konia zdjęto.

Po bolesnem wysondowaniu tych trzech ran, które od początku kampanii po raz pierwszy i to w jednej chwili miałem honor otrzymać, z flegmą nasz pułkowy pod lekarz Steinig zdecydował, że rana w rękę tyle znaczy co nic, za parę dni się zagoi; w brzuchu, że szczęściem błona nie przebita, więc dziś nie jest śmiertelna jeszcze; wszakże nie ręczy, czy wśród jazdy na wozie lub ambulansie, gdy w porządku przyjdzie zapalenie, nie przejdzie także w gangrenę; łydka, że przestrzelona z pistoletu na wylot i kulka się nie została, więc rana także nie zagraża niebezpieczeń-



Wojsko polskie. Strzelec konny.

stwem utraty nogi, chyba, gdyby krew we mnie była zła.

Tak mnie pocieszywszy, opatrzywszy i obandażowawszy, że w ambulansie miejsca nie było już, więc na wozy, co z pod furazów pozostały w obozie, pokładli nas po trzech na każdy, i odwieźli w tył po za linię boju, do dalszego rozkazu.

Tam ujrzałem jednego z podoficerów naszych, Żłowockiego, zda mi się, bez nogi już.

Ow podoficer, gdy z rana stanęliśmy w asekuracji, w samym prawie początku dostał strzał od kuli sześćcio - funtowej, która mu nogę poniżej kolana tak urwała, że tylko na skórcie się trzymała.

Gdy to ujrzał, cofnął konia w tył, i z najzimniejszą krwią, z uśmiechem nawet, rzekł:

— Bywajcie zdrowi, koledzy! Ja już podobno na nic wam się tu nie zdam!

A przyłożywszy pozostałą lewą łydkę koniowi, małym z prawej nogi galopkiem odjechał sobie do ambulansów, gdzie nogę mu zaraz odjęto.

Około godziny 5-ej wicczorem, nasi na całej linii cofać się poczęli.

Słońce skłoniło się ku zachodowi, stanęliśmy zno-

wu na tem samem miejscu, skądśmy z rana wyszli. Ale nie bawiliśmy się tam, tylko tyle, ile było potrzeba na wypoczynek i posilenie się po całodziennym poście i ciężkiej pracy, oraz na zwinięcie obozu, i porządne pomieszczenie rannych, których pod mocną zasłoną wysłane naprzód drogą ku Kownu; korpus zaś niebawem ruszył także za nami. Ale Sakin, generał rosyjski, w też tropy za nami, zrazu zdala tylko obserwując, a później coraz natarczywiej posuwać się zaczął.

*

*

*

I stało się to, co przy złem dowództwie stać się musiało: kampania polsko - rosyjska skończyła się klęską wojska polskiego i zdobyciem przez księcia Paszkiewicza Warszawy w dniu 8-m września 1831 roku. Inaczejby się z pewnością było stało, gdyby na czele armii polskiej, której bohaterstwo uznali wszyscy, nawet wrogowie, stał był wódz tej miary, jak naprzykład Józef Chłopicki, który po bitwie pod Grochowem ranny i chory, złożył naczelną władzę nad wojskiem. Niestety, następcy jego nie stanęli na wysokości zada-

nia i nie podolali trudnościom i przeciwnościom. Owocem ich błędów była nieszczęśliwa bitwa pod Ostrołką, wyprawa na Wołyń i Litwę, a następnie rozbrojenie resztek wojsk polskich w granicach Prus i Austrii.

I ukochani ułani Goczałkowskiego musieli przejść granicę pruską i tam broń złożyć.

Starzy żołnierze, pamiętający Samo - Sierra, Raszyn, Wagram, Lipsk, ze łąą w oku rozstawali się z wiernym swym koniem i ułańską laną.

W ten sposób zakończył swój żołnierski żywot i Goczałkowski, dobry żołnierz, dzielny oficer i po wyleczeniu się z ran zaszczytnych, wzorowy obywatel kraju.

K O N I E C.



„PRZYJACIEL DZIECI”

Pismo tygodniowe ilustrowane, nauce
≡ i rozrywce młodzieży poświęcone. ≡



Wszystkie tomy wychodzą w ozdobnej oprawie za którą nadsyłać należy po kop. 15 od każdego tomu.

Cena tych książek dla nieprenumerujących „Przyjaciela Dzieci” wynosić będzie w handlu księgarskim kop. 60 za egzemplarz, czyli rub. 7.20 za tomów 12.

wieści, wiersze, komedyjki, pogadanki naukowe, zadania różne, rebusy i t. p. Wszystko to w formie odpowiedniej dla umysłów młodocianych.

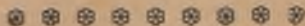
Redaktor JAN SKIWSKI.

Prenumerata wynosi: w Warszawie
kwartalnie rub. 1.—
rocznie rub. 4.—

Zprzesytką pocztową
kwartalnie rub. 1.25
rocznie rub. 5.—



Kantor Prenumeraty
Aleje Jerozolim. 49.





574312 140 ✓

PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA



Gdańsk-Wrzeszcz
Al. Gen. J. Hallera 14

111073